



OSKAR STUHR

Kraków, 18 czerwca 1945 r., ja, prokurator dr Wincenty Jarosiński, członek Głównej Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, przy współudziale aplikanta sądowego mgr. Juliana Chachlowskiego, przesłuchałem w charakterze świadka na zasadzie art. 20 przepisów wprowadzających kpk, w związku z art. 107 i 115 kpk, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dr. Oskara Tadeusza Stuhra, nr 947. Po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Oskar Tadeusz Stuhr
Data urodzenia	8 października 1891 r. w Krakowie
Imiona rodziców	Leopold i Anna Thill
Zawód	adwokat
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Miejsce zamieszkania	Kraków, ul. Solna 1

Jeśli mam złożyć zeznanie w sprawie zbrodni niemiecko-hitlerowskich w Polsce, to muszę je zacząć mottem z Zygmunta Krasińskiego: „Krwią i łzami pisane są dzieje ludzkości”

Z chwilą zmontowania niemieckich władz administracyjnych w późniejszym Generalnym Gubernatorstwie w końcu października 1939 r., a w szczególności z chwilą usadowienia się w Krakowie krwiożerczej policji niemieckiej, popularnie zwanej gestapo (*Geheime Staatspolizei*), rozpoczęła się na szeroką skalę zakrojona działalność tej władzy, zmierzająca do systematycznego wytępienia Polaków, a przede wszystkim polskiej inteligencji oraz wszystkich organizacji społecznych, mogących mieć jakikolwiek wpływ na szerokie koła ludności. Zaczęło się od „wykładu” na Uniwersytecie Jagiellońskim 6 listopada 1939 r.

W perfidny sposób ściągnięto pod [pozorem wydarzenia] naukowego poważny zastęp słuchaczy należących do świata naukowego i kulturalnego Krakowa. Rzesza wybitnych osobistości świata naukowego z prezesem Akademii Umiejętności dr. Stanisławem Kutrzebą na czele, ludzi uczonych i kierowników naszego życia kulturalnego Krakowa oraz ludzi zajmujących czołowe społeczne stanowiska, wpadła w sidła i szpony zdradzieckiego gestapo i musiała poprzez więzienie wojskowe przy ul. Montelupich dotrzeć do istniejących już od dawna w Niemczech obozów koncentracyjnych w Oranienburgu-Sachsenhausen, Dachau, Mauthausen-Gusen. Przechodząc całą gehennę udręczeń wielu z nich zginęło śmiercią męczeńską za to tylko, że nie przeczuwając podłego i chytrego podstępu zbirów hitlerowskich udali się na uniwersytet celem wysłuchania wykładu tych, którzy rzekomo mieli nieść Polakom oświatę i kulturę zachodnią i mieli nam przedstawić swój punkt widzenia na dalszy rozwój naszej kultury.

Niemcy rozpoczęli od fałszu i obłudy. Z pobudek niskich i krwiożerczych przystąpili do zrealizowania kardynalnego hasła rzuconego przez Hitlera: konsekwentnego wytępienia żywiołu polskiego i wymazania polskiej ziemi z mapy Europy. Wykład był nie tylko prostą pułapką, był jakby zasłoną dymną, mającą na celu przykrycie bezwzględności i brutalności nawet najwyższych czynników niemieckich, które miały rozpocząć swą działalność „w zawsze niemieckim mieście Krakowie”, ze swym generalnym gubernatorem drem Hansem Frankiem na czele, twórcą nowego prawa, a raczej bezprawia w Europie, który z dniem 26 października 1939 r. objął ster rządów na ziemi polskiej. Za tą krwawą i nad wyraz bolesną dla całego świata kulturalnego „inauguracją” poszły dalsze aresztowania i prześladowania wszystkich tych, którzy zajmowali wybitniejszą pozycję społeczną w Krakowie i kierowali ruchem kulturalnym, nawet z dala stojącym od życia politycznego. Zaczęto masowo aresztować nauczycieli i profesorów gimnazjalnych, wychowawców dzieci oraz księży.

Wiceprezydent dr Stanisław Klimecki, jako jeden z pierwszych w tym czasie 6 listopada 1939 r. został po raz wtóry zatrzymany, a następnie wywieziony do Niemiec (po wypuszczeniu go z obozu w Oranienburgu został on po raz trzeci aresztowany w 1942 r. i zginął śmiercią męczeńską w połowie grudnia tego samego roku). Celem tych aresztowań było zmaltrretowanie całego społeczeństwa, napędzenie strachu i bojaźni, a w dalszej konsekwencji zdemoralizowanie i skłonienie do donosicielstwa i zdrady narodu polskiego. Władze niemieckie rozciągnęły na szeroką skalę tak zwany *Schutzhaft* (areszt zabezpieczający). Niemcy, w gruncie rzeczy trwożliwi i bojaźliwi, obawiali się powstania na zajętych ziemiach i dlatego

na wstępie swej krwiożerczej działalności postanowili z miejsca sparaliżować i unieszkodliwić wszelką aktywną działalność ze strony Polaków. Usuwali więc jednostki, które mogły podczas okupacji z podziemia kierować ruchem odwetowym i zabezpieczali sobie przez usunięcie wpływowych i ruchliwych jednostek zaplecze – akcją wyniszczającą Polaków.

9 i 10 listopada 1939 r. nastąpiły w Krakowie spodziewane masowe aresztowania, w czasie których zostałem i ja uwięziony. Około godziny dziewiątej 9 listopada 1939 r. przyszło do mnie do Obwodowej Komendy Straży Obywatelskiej na Podgórzu (mieszczącej się w budynku komisariatu VI obwodu) dwóch oficerów gestapo w towarzystwie jednego cywila – jak się później dowiedziałem tłumacza – i wezwali mnie do udania się do mojej kancelarii, znajdującej się w Podgórzu przy ul. Kalwaryjskiej 1.2. W kancelarii wezwali mnie przede wszystkim do wydania akt Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” Kraków II i Klubu Sportowego „Korona”, upewniwszy się przedtem, że byłem prezesem „Korony”, a wiceprezesem „Sokoła”. Na moją odpowiedź, że akt, zresztą niemających żadnego znaczenia politycznego, nie mam i te znajdują się u naszego sekretarza, porucznika rezerwy Tadeusza Wołoszyna, zam. w Krakowie przy ul. Rękawka 4, ale przebywającego w tym czasie na wojnie, nie chcieli temu dać wiary i po oświadczeniu, że przystępują do czynności urzędowej, zaczęli przerzucać wszystkie akta kancelaryjne oraz wszystkie rzeczy w mieszkaniu prywatnym. Rewizja wypadła pomyślnie dla mnie, gdyż przeprowadzający ją gestapowcy nie znaleźli rewolweru schowanego w składanej sofie znajdującej się w mojej sypialni, a jedynie zabrali jako *corpora delicti* guziki od fotela – widocznie podejrzewając, że to oznaki jakiejś organizacji wojskowej – oraz spis wyborców do Rady Miejskiej, w czym znowu domyślali się zapewne spisu członków organizacji. Po dwóch godzinach przeszukiwania, zabrawszy guziki i spis wyborców, pozostawili wezwanie, bym jawił się w biurach przy ul. Pomorskiej 1.2 w dniu 14 listopada 1939 r. o godzinie 9.00. Jednak już wcześniej spotkała mnie niemiła niespodzianka.

10 listopada udałem się jak zwykle na odprawę straży obywatelskiej głównej, do budynku Larischa, o 12.00 w południe. Odprawę przeprowadzał w tym dniu krótko komendant główny, dr Jan Kuhn, tak że mniej więcej o 12.15 schodziłem na dół w towarzystwie mego kolegi zawodowego i również komendanta jednego z obwodów krakowskich, adwokata dra Rolanda Goryczki (przebywającego od końca kwietnia 1942 r. w obozach koncentracyjnych w Niemczech). Mniej więcej na półpiętrze zauważyłem pędzącego po schodach do góry oficera gestapo, tego samego, który dzień przedtem był u mnie na rewizji. Oficer ów zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy odprawa już skończona. Otrzymałszy potakującą odpowiedź,

widocznie mnie w tym momencie poznał, gdyż rzekł z uśmiechem: „Da sehen wir uns wieder” („A więc znowu się widzimy”) – i zaprosił mnie do pięknego samochodu stojącego przed bramą budynku Larischa. W tym miejscu zauważyć muszę, że o mojej bytności w budynku Larischa dowiedział się ów oficer od mego brata w kancelarii adwokackiej koło 12.00 w południe. Oficer ów, usiadłszy za kierownicą, ruszył w kierunku ulicy Grodzkiej. W czasie jazdy odwrócił się do mnie i rzekł: „Ich brauche Ihnen nicht aufklären, Sie sind festgenommen” („Nie potrzebuję wyjaśniać, że jest pan aresztowany”). Osłupiałem i nie odezwałem się ani słowem. Kiedy samochód skręcił w kierunku ul. Poselskiej, a następnie Kanoniczej, sądziłem, że zostaje odstawiony do więzienia kryminalnego, popularnie nazywanego „Michałem”, przy ul. Senackiej. Myliłem się jednak, gdyż pojechaliśmy dalej i wóz zatrzymał się na ul. Kanoniczej przed domem oznaczonym numerem 11. Oglądając się w tył, zauważyłem drugi samochód, z którego wysiadło dwóch gestapowców. Weszli oni do bramy domu przy ul. Kanoniczej 11. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, w związku z czym nastąpiło moje zatrzymanie i co miało oznaczać zawieszenie mnie na ul. Kanoniczą 11. Może za dziesięć minut wyprowadzono z tego domu mego kolegę adwokata, dra Bolesława Rozmarynowicza, któremu polecono usiąść w wozie obok mnie. Przywitaliśmy się milcząco, słowa nie wypowiadając. Samochód ruszył w kierunku ul. Zwirzyńskiej, a następnie ul. Tadeusza Kościuszki. Wtedy zacząłem przypuszczać, że odwożą nas prawdopodobnie do koszar, znajdujących się na kopcu Kościuszki. Wnet atoli na Salwatorze gestapowcy znowu zatrzymali się i weszli do jednej z willi. Jak się później dowiedziałem, było w niej mieszkanie inż. Ernesta Cieśleńskiego, podpułkownika Wojska Polskiego, którego w tym czasie w domu nie było, a którego nieco później aresztowano. Po chwili wsiedli znowu do auta i samochód ruszył z powrotem w kierunku miasta, jadąc wolno i ostrożnie, trzymając się zawsze bardzo blisko chodnika, widocznie celem lepszej obserwacji przechodniów. Tak zajechaliśmy na ul. Świętego Jana i zatrzymaliśmy się przed domem oznaczonym nr. 18, w którym znajdowało się biuro notariusza i byłego prezydenta Krakowa, dr. Bolesława Czuchajowskiego. Za krótką chwilę gestapowcy wyszli bez ofiary, gdyż wówczas dra Czuchajowskiego nie było już w Krakowie. Nie uniknął on jednak swego losu, gdyż w późniejszym czasie został aresztowany i przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie 3 lipca 1942 r. – jak się później dowiedziałem od innych więźniów – został rozstrzelany. Zbliżywszy się do auta, jeden z gestapowców spojrzął na zegarek i stwierdziwszy, że już godzina pierwsza w południe rzekł: „Es ist schon 1 Uhr, fahr mit den Zweien, Essen ist die Hauptsache” („Jest już godzina pierwsza, jedź z tymi

dwoma, jedzenie jest najważniejsze"). Zgłodniały gestapowiec wsiadł do swego samochodu, a nasz, to jest wiozący mnie i kolegę dr. Bolesława Rozmarynowicza, ruszył ul. Pijarską, przez plac Matejki w kierunku Warszawskiej. Podczas postoju przed domem, w którym mieściło się biuro rejenta dr. Bolesława Czuchajowskiego, przypadkowo przechodził szwagier kolegi Rozmarynowicza, adwokat dr. Stanisław Kowenicki ze swoją żoną Olgą, której kolega Rozmarynowicz zdołał powiedzieć, że jesteśmy aresztowani. Otrzymawszy tę wiadomość ze zrozumiałych względów szybko oboje się oddalili. Kiedy samochód skręcał w ul. Montelupich, zrozumiałem, że celem naszej jazdy po Krakowie było aresztowanie ściśle oznaczonych osób i umieszczenie ich w więzieniu wojskowym przy Montelupich.

Po przybyciu na duże podwórze więzienia, zauważyłem wiele znanych osobistości z Krakowa, między innymi posła dra Stanisława Rymara, dyrektora Henryka Mianowskiego, nadto wielu księży, a w szczególności kapłanów Towarzystwa Jezusowego. Bezpośrednio po zatrzymaniu auta gestapowcy wprowadzili nas do kancelarii, celem dopełnienia formalności naszego przyjęcia. Zaraz na wstępie byliśmy świadkami nad wyraz przykrej sceny. Otóż widzieliśmy, jak jakąś ofiarę bito i kopano w nielitościwy sposób, skakano po jej ciele, wśród krzyków i wrzasków: „Der Saujud wird sich verstecken, er ist keine Kugel wert”. Ofiarą tą był późniejszy nasz kucharz więzienny w Nowym Wiśniczu, Józef Immerglück, właściciel kabaretu w Katowicach. Zimny pot oblewał moje czoło, byłem przeświadczony, że takie będzie nasze wstępne przyjęcie. Na szczęście obeszło się bez tego. Po złożeniu wszystkich naszych dokumentów, kosztowności, zegarka, kołnierzyka, szelek i krawata oraz po podaniu danych osobistych, bez żadnego dalszego badania przeznaczono nas, to jest mnie i dra Bolesława Rozmarynowicza, do celi numer 45.

Była to kaplica więzienna, położoną na parterze w skrzydle narożnym przy ul. Montelupich i Kamiennej. Okna wychodziły na dziedziniec więzienny, a dwa w kierunku ul. Montelupich. Stojąc przy tych oknach, można było obserwować ruch tramwajowy linii nr 3. W tej części kaplicy znajdował się ołtarz. Była ona dosyć starannie utrzymana, ale stanowczo za ciasna dla tej liczby osób, jaką tutaj stłoczono. W momencie wprowadzenia nas znajdowało się tam bardzo dużo więźniów, przeważnie nauczycieli gimnazjalnych, aresztowanych w dniu poprzednim, to jest 9 listopada 1939 r., w poszczególnych szkołach przy pracy. Między innymi byli tam wówczas:

Władysław Bryda, wizytator w Krakowie, ul. Krowoderska 57 – lat 53

Karol Baca, urzędnik, ul. Zygmunta Augusta 5 – lat 40



Władysław Bugayski, inżynier rolny, ul. Ujejskiego 9 – lat 34
Franciszek Bielak, profesor gimnazjalny, ww. Świętych 7 – lat 47
Józef Dorowski, dyr. KKO, ul. Szpitalna – lat 69
Feliks Dziuba, przemysłowiec, ul. Pomorska 6 – lat 36
Eugeniusz Drozdziowski, profesor gimnazjalny, al. Słowackiego 25
Stanisław Grohmann, urzędnik, ul. św. Jana 20 – lat 30
Zygmunt Janta, student gimnazjalny, Katowice – lat 18
Antoni Krawczyk, profesor gimnazjalny, Mały Rynek 6 – lat 55
Stanisław Keller, artysta grafik, ul. św. Tomasza 22 – lat 40
Zygmunt Klemensiewicz, dyr. US, ul. Czarnowiejska 15 – lat 65
Tadeusz Lech, absolwent medycyny, ul. św. Łazarza Boczna 8 – lat 30
Jan Mrożek, student medycyny, Chorzów – lat 25
Tadeusz Mrożek, student prawa, Chorzów – lat 26
Jerzy Mianowski, inż. rolnik, ul. Grottgera 22 – lat 44
Ludwik Mayre, inżynier, ul. Basztowa 9 – lat 40
Józef Magier, ks. katecheta, plac Mariacki 7 – lat 39
Tadeusz Nowak, kierownik szkoły, ul. Podwale 1 – lat 45
Antoni Nykliński, profesor gimnazjalny, ul. Biskupia 5 – lat 33
Czesław Nowicki, profesor gimnazjalny, ul. Retoryka 15 – lat 53
Zygmunt Olszewski, urzędnik kolejowy, ul. Basztowa 10 – lat 64
Adam Olszewski, strażnik graniczny, ul. Emaus 28 – lat 40
Henryk Policht, profesor gimnazjalny, ul. Kościuszki 66 – lat 51
Józef Przebinda, student uniwersytetu, ul. Kościuszki 25 – lat 26
Tadeusz Pankiewicz, mgr farmacji, Podgórze, plac Zgody 18 – lat 32
Bolesław Rozmarynowicz, adwokat, Kanonicza 11 – lat 48
Stanisław Robak, kierownik szkoły powszechnej, ul. Strzelecka 19 – lat 51
Hugo Ripper, dyrektor banku, ul. Długa 52 – lat 64
Oskar Rauch, chemik, ul. Rakowiecka 14 – lat 53
Oskar Stuhr, adwokat, ul. Kawalerska 2 – lat 58
Tadeusz Ramult, bankowiec, ul. Zamenhofska 8 – lat 52
Adolf Szyller, kupiec, ul. Piłsudskiego 21 – lat 51
Ignacy Stanisław, urzędnik, ul. Kielecka 17 – lat 43
Roman Sołdyna, urzędnik, Katowice – lat 27

Stanisław Szeremeta, dyrektor „Ruchu”, ul. Potockiego 3 – lat 52

Kazimierz Slanczka, inżynier, ul. św. Jana 2 – lat 54

Stanisław Serafin, profesor gimnazjalny, plac Groble 9 – lat 56

Ludwik Stopka, profesor gimnazjalny, ul. Bandurskiego 9 – lat 60

Zygmunt Tarliński, profesor gimnazjalny, Wola Justowska – lat 58

Józef Wiśniewski, nauczyciel gimnastyki, ul. Wygodna 11 – lat 53

Witold Wolski, kupiec, ul. Kremerowska 2 – lat 29

Stanisław Zakrocki, profesor gimnazjalny, ul. Smoleńsk 21 – lat 54

Jerzy Żelechowski, medyk, ul. Starowiślna 16 – lat 23

We wspomnianej celi, względnie kaplicy więziennej, znaleźli się w dalszym ciągu, jeszcze w następnych dniach:

Markus Spiegel, adwokat, ul. Świętego Sebastiana 36 – lat 54

Ferdynand Machay, ksiądz ze Zgromadzenia Filipinów, Tarnów

Abraham Goldstein, adwokat, ul. Krakusa (zwolniony zresztą po trzech dniach)

Znalazłszy się w tak liczonym gronie, szybko ochłonąłem i wszyscy wspólnie zaczęliśmy zastanawiać się nad powodem i celem naszego aresztowania, względnie zatrzymania, bo i pod tym względem toczyły się między nami teoretyczne spory. Wszyscy byliśmy zdania, że Niemcy, obawiając się zapewne w dniu 11 listopada, a więc święta państwowego, jakiegoś odruchu, zatrzymali nas na krótki czas jako zakładników (*Geisel*) i że w najbliższym czasie zostaniemy zwolnieni, a co najmniej poddani jakiemuś dalszemu badaniu. Niestety, nie przeczuwaliśmy jeszcze wtedy naszego dalszego losu, nie podejrzewając Niemców w XX w. o takie zbrodnicze zamiary, które w czyn powoli wprowadzali.

13 listopada umieszczono wśród nas kolejną ofiarę, wspomnianego już wyżej Józefa Przebindę (zmarłego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu 2 maja 1941 r.), słuchacza Uniwersytetu Jagiellońskiego i podporucznika rezerwy Wojska Polskiego. Wspominam specjalnie o nim, gdyż ten młody człowiek, dzielny oficer, pełen temperamentu i szlachetnego serca, przylgnął do mnie wprost synowskim przywiązaniem, tak że od pierwszej chwili stał się moim nieodłącznym towarzyszem oraz przyjacielem szczerym i oddanym w dalszej naszej wspólnej, często bardzo ciężkiej i bolesnej wędrówce.

Dzięki temu, że umieszczeni byliśmy w kaplicy więziennej, w której także zdeponowane były wszystkie szaty liturgiczne, współwięźniowie: ks. Józef Magier, a potem także i ks. Ferdynand

Machay, mogli odprawiać mszę świętą, którejśmy wysłuchiwali z nabożeństwem i w podniosłym nastroju i mogliśmy przystępować do sakramentów pokuty i ołtarza, co podnosiło nas wszystkich na duchu i dodawało nam otuchy i nadziei, że szczęśliwie wrócimy do domów. Strażnicy o tym nie wiedzieli, a może być, że nie chcieli wiedzieć, gdyż specjalnych szykan wobec nas w tym czasie nie stosowali i nie zmuszali nas do żadnych zajęć. W celi odwiedzali nas często, tłumaczyli nam, że nie jesteśmy zbrodniarzami, że wnet nas wypuszczą, jesteśmy tylko zakładnikami. W istocie sami nic nie wiedzieli, bo byliśmy w rękach gestapo i ono decydowało o naszym przyszłym losie. Straż więzienna, składająca się z ludzi prostych, ślepo tylko wykonywała wydane jej przez gestapo zlecenia.

Z wyżej wymienionych osób znajdujących się w celi nr 45, tego samego dnia, w którym został zatrzymany, to jest 10 listopada 1939 r., zwolniono dyr. Józefa Dorawskiego. Po upływie 14 dni zwolniono kilkunastu, przeważnie tych, których zatrzymano w rozmaitych lokalach publicznych. Po kilku tygodniach zwolniony został senator Zygmunt Klemensiewicz, którego brak później bardzo odczuwaliśmy, gdyż on umiał swoim humorem i wiarą podtrzymywać nas na duchu i nie pozwolił, żeby w serca nasze wkradła się niewiara lub zwątpienie. Jego powaga, a zarazem duch młodzieńczy, dodawały nam dużo sił, których nam było potrzeba. Zwolniono po przesłuchaniu prof. Krawczyka, a później także prof. Stanisława Zakrockiego i nauczyciela gimnastyki Józefa Wiśniewskiego. Łudziliśmy się zawsze, że nastąpią przecież przesłuchania, a wobec braku jakiegokolwiek winy zostaniemy wszyscy zwolnieni.

Mijały tygodnie, a areszt się przedłużał i dalsze zwolnienia nie nadchodziły. Czas się dłużył, a nudy skracaliśmy sobie pogadankami na rozmaite tematy naukowe. Koledzy Eugeniusz Drozdziowski i Franciszek Bielak wykładali nam literaturę polską i niemiecką, ks. Józef Magier poruszał tematy teologiczne, zaś kolega Bolesław Rozmarynowicz i ja omawialiśmy nasze poglądy prawnicze. Ja z kolegą Józefem Przebindą ulokowałem się za ołtarzem kaplicy, zaraz po kilku dniach bowiem koledzy moi, a głównie mój bezpośredni sąsiad dr Bolesław Rozmarynowicz, żalił się okropnie, zresztą zupełnie słusznie, że chrapałem i wskutek tego nie mógł należycie wypocząć. Uwzględniając jego zdenerwowanie, schowałem się za ołtarz i chrapałem codziennie spokojnie, mając zupełnie czyste sumienie. Czekałem dalszego losu. Kolega Henryk Policht, artysta malarz, skracał sobie nudy w ten sposób, że niezmordowanie rysował i malował portrety nas wszystkich bez wyjątku i prawie wszyscy mamy pamiątki z tego czasu, a zwłaszcza ci, którzy umieli w sposób przemyślny uratować je w dalszych wędrówkach po obozach koncentracyjnych.

Kolega Policht początkowo malował tylko farbami wodnymi. Malował także i strażników, którzy go ogromnie nagabywali i prosili, aby ich uwiecznił, zwłaszcza kiedy stwierdzili talent mistrza. Chcąc mieć portrety malowane farbą olejną, doprowadzili do tego, że kolegę Henryka Polichta zawieźli z więzienia do domu, przy ul. Kościuszki 1 m. 61 i pozwolili mu zabrać tubki z farbami olejnymi. Dzięki tej okoliczności mógł on niespodziewanie porozmawiać ze swą rodziną i przynieść nam pewne wiadomości z wolności.

Obchodzenie się strażników z nami było poprawne. Spaliśmy na siennikach na ziemi, gęsto stłoczeni. Odżywianie było bardzo skromne, ale ostatecznie dostateczne, zwłaszcza że pomoc społeczeństwa krakowskiego w formie obiadów dostarczanych nam z klasztoru sióstr szarytek przy ul. Warszawskiej była dobra, ponadto rodziny nasze nie zapominały o nas i dwa razy przynajmniej w tygodniu dostarczały nam pakunki z żywnością. Odczuwaliśmy jednak brak kąpeli i możliwości należytego umycia się, bo urządzenia sanitarne, zwłaszcza podczas zimnych dni późnej jesieni, były niewystarczające. Po dwóch, względnie trzech tygodniach pozwolono nam wyjść na półgodzinny spacer na podwórze. Ustawiono nas czwórkami, kazano maszerować i śpiewać popularne piosenki. Z kolegami przebywającymi w innych celach i na innych piętrach nie można było się stykać, bo zawsze byliśmy pod kluczem, oprócz małej chwili w czasie wydawania jedzenia i porannego sprzątnia.

W owym czasie przebywali w więzieniu na Montelupich prezydent Krakowa inż. Karol Rolle i wiceminister inż. Henryk Dudek. Aresztowani oni byli w związku z działalnością Polskiego Związku Zachodniego, chorowali ciężko, a zwłaszcza inż. Dudek. Prezydent Rolle został zwolniony w grudniu 1939 r., zaś inż. Dudek opuścił szpital więzienny, o ile się nie mylę, w maju 1940 r.

23 grudnia 1939 r. jest dniem, którego nigdy nie zapomnę. W Wilię Bożego Narodzenia około szóstej rano wszedł do celi strażnik i wezwał mnie, Józefa Przebindę i Oskara Raucha do kancelarii. Bardzo się ucieszyłem, albowiem byłem głęboko przekonany, że nastąpi nasze zwolnienie. Dotychczas, jak i w ciągu kilku następnych miesięcy, nie byłem w ogóle przesłuchany. W kancelarii oświadczone nam, że mamy zebrać swoje rzeczy i oczekiwać dalszego zarządzenia w celi. Gdy wróciliśmy do celi, koledzy z największą chęcią zaczęli pomagać w pakowaniu naszych rzeczy, dawali nam rozmaite zlecenia do wykonania i tak w podnieceniu oczekiwaliśmy dalszego wezwania. Za chwilę wezwano drugą trójkę i tak dalej, tak że prawie wszyscy, z wyjątkiem może trzech czy czterech, zostali wezwani do

spakowania rzeczy. Trwało to mniej więcej do siódmej rano. W tym czasie kazano nam wyjść na korytarz, a za chwilę polecono wsiadać do czterech wielkich ciężarowych aut przykrytych płachtami. Przy tych autach było bardzo dużo policjantów w hełmach i z bronią w rękę. Policjanci rozkazali nam szybko wsiadać do tych wozów, nie szczędząc krzyku i wyzwisk. Chwilowa radość, że znowu uzyskamy tak upragnioną wolność, a zwłaszcza, że w dniu tak radosnym jak Wigilia Bożego Narodzenia znajdziemy się w domu, ustąpiła, kiedy nas wpędzono do samochodów. Ruszyliśmy z miejsca.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że nas wywożą, ale nie wiedzieliśmy – dokąd? Przez chwilę sądziliśmy, że do Katowic, skoro wjechaliśmy na drogę prowadzącą w ich kierunku, atoli wnet skręciliśmy w bok i zajechaliśmy pod dawną podchorążówkę na Łobzowie. Tam zaprowadzono nas do kąpieli, przeprowadzono dezynfekcję ubrań. Wszystkie czynności z tym związane musieliśmy wykonywać w błyskawicznym tempie. Będąc zupełnie niewinny i dotychczas nie przesłuchany, łudziłem się przez chwilę, że może to tylko kąpiel świąteczna, bośmy się od tygodnia nie kąpali, że nas takich brudnych i niedostatecznie umytych do domu puścić nie mogą. Po kąpieli i przeprowadzeniu dezynfekcji ubrań załadowano nas znowu do samochodu i wieziono w kierunku dworca kolejowego. Wejście do wagonów przy poczcie, na dworcu osobowym, było dla publiczności zamknięte i wtedy wśród gęstego szpaleru policjantów wprowadzono nas do pociągu i umieszczono w czterech wozach towarowych. Zrozumiałem że jedziemy do więzienia, ale do którego i gdzie, nie wiedziałem. Strażnicy będący w wozie, w którym jechałem, zdradzili tajemnicę tylko o tyle, że jedziemy do Bochni. Podali przy tym, że będziemy w obozie, gdzie są wcale dobre urządzenia, jest na przykład kantyna, a będzie tylko praca w nieco zmienionych warunkach.

Do Bochni przyjechaliśmy około trzeciej po południu. Na stacji oczekiwał nas kordon policjantów niemieckich, pieszych i konnych, w łącznej liczbie 50. Otoczono nas ze wszystkich stron i szybkim krokiem zaczęto nas pędzić szosą prowadzącą do Nowego Wiśnicza, odległego o jakieś osiem – dziewięć kilometrów od Bochni. Bochnia robiła wówczas przykre i przygnębiające wrażenie, było to bowiem w trzy dni po pacyfikacji, względnie po powieszeniu kilku osób na rynku. Ludzie wystraszeni wystawali w bramach i nieśmiało przystępowali do okien, widocznie nie zdając sobie sprawy z tej dziwnej, przykrew wędrowki stu osób, strzeżonych i pilnowanych przez 50 policjantów. Było to pierwszych stu, którzy mieli tworzyć załączek obozu koncentracyjnego na ziemi polskiej, zrazu pod niewinną nazwą *Arbeitslager* w Nowym Wiśniczu. Obóz ten mieścił się w dotychczasowym ciężkim więzieniu

karnym, w którym po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. i po rozpuszczeniu więźniów kryminalnych przebywali przez jakiś czas jeńcy wojenni Polacy. Tych pierwszych stu usunięto z więzienia przy ul. Montelupich, aby zrobić miejsce dla innych, których zatrzymało gestapo podczas świąt Bożego Narodzenia, względnie Nowego Roku. W tej setce znaleźli się prawie wszyscy koledzy z celi nr 45, a byli nimi następujący w alfabetycznym porządku podani:

1. Tadeusz Andrzej Baliński (cela nr 16)
2. Ignacy Basler (cela nr 23)
3. Mikołaj Bereski (cela nr 22)
4. Franciszek Bielak (cela nr 20)
5. Mieczysław Bil (cela nr 30)
6. Władysław Biel (cela nr 30)
7. Robert Birnbaum (cela nr 22)
8. Mieczysław Borek (cela nr 29)
9. Karol Bronstein (cela nr 23)
10. Wacław Brodkiewicz (cela nr 16)
11. Jan Bromilski (cela nr 22)
12. Władysław Bryda (cela nr 28)
13. Adam Brzostyński (cela nr 22)
14. Ernest Cieślewski (cela nr 17)
15. Tadeusz Chłodnocki (cela nr 22)
16. Kazimierz Dębowski (cela nr 30)
17. Adam Dobrowolski (cela nr 22)
18. Eugeniusz Drozdziowski (cela nr 20)
19. Szymon Dyszel (cela nr 23)
20. Bronisław Dziuban (cela nr 15)
21. Paweł Dziuban (cela nr 19)
22. Zygmunt Falk (cela nr 23)
23. Adolf Forster (cela nr 22)
24. Salke Gettinger (cela nr 23)
25. Józef Golarz (cela nr 22)
26. Władysław Gorczyca (cela nr 22)
27. Władysław Gut (cela nr 24)



28. Czesław Hirsch (cela nr 18)
29. Leopold Hirsch (cela nr 18)
30. Stanisław Hess (cela nr 21)
31. Józef Immerglück (cela nr 15)
32. Wincenty Janik (cela nr 25)
33. Zygmunt Janta (cela nr 24)
34. Stanisław Jara (cela nr 21)
35. Franciszek Karbowski (cela nr 22)
36. Tadeusz Korpala (cela nr 17)
37. Jan Karwasiński (cela nr 18)
38. Władysław Kibała (cela nr 21)
39. Jan Klecha (cela nr 25)
40. Władysław Kochanek (cela nr 28)
41. Roman Kocko (cela nr 24)
42. Samuel Kolber (cela nr 23)
43. Józef Krawczyk (cela nr 22)
44. Marcin Krawczyk (cela nr 22)
45. Jan Krause (cela nr 18)
46. Władysław Kucaba (cela nr 29)
47. Tadeusz Latusek (cela nr 29)
48. Józef Lichtenberg (cela nr 19)
49. Jan Liwacz (cela nr 25)
50. Zygmunt Lorenz (cela nr 17)
51. Józef Magier (cela nr 20)
52. Aleksander Markowski (cela nr 16)
53. Jan Mielecki (cela nr 22)
54. Eugeniusz Najbar (cela nr 19)
55. Rudolf Niemiec (cela nr 17)
56. Antoni Nykliński (cela nr 20)
57. Kazimierz Olearczyk (cela nr 19)
58. Tadeusz Pawliszewski (cela nr 25)
59. Henryk Policht (cela nr 20)
60. Artur Popiel (cela nr 18)



61. Józef Przebinda (cela nr 28)
62. Adam Rabiej (cela nr 24)
63. Władysław Radoń (cela nr 15)
64. Oskar Rauch (cela nr 21)
65. Antoni Rejnin (cela nr 25)
66. Stanisław Robak (cela nr 28)
67. Eustachy Rolski (cela nr 25)
68. Szaja Rosenberg (cela nr 23)
69. Bolesław Rozmarynowicz (cela nr 20)
70. Adam Różycki (cela nr 21)
71. Ludwik Rzeźnikowski (cela nr 30)
72. Stanisław Serafin (cela nr 21)
73. Stanisław Silber (cela nr 23)
74. Markus Spiegel (cela nr 23)
75. Benedykt Soroczyński (cela nr 21)
76. Jerzy Soroczyński (cela nr 25)
77. Stanisław Skop (cela nr 21)
78. Stanisław Sługowski (cela nr 21)
79. Ludwik Stopka (cela nr 20)
80. Oskar Stuhr (cela nr 28)
81. Eugeniusz Szancer (cela nr 23)
82. Rudolf Szuster (cela nr 29)
83. Tadeusz Tarra (cela nr 29)
84. Mieczysław Tarnawski (cela nr 18)
85. Stanisław Tarnawski (cela nr 21)
86. Piotr Toczek (cela nr 21)
87. Szymon Toczek (cela nr 21)
88. Walenty Toczek (cela nr 21)
89. Walenty Toczek (po Pawle) (cela nr 21)
90. Władysław Theuerle (cela nr 25)
91. Tadeusz Turek (cela nr 25)
92. Jan Urban (cela nr 15)
93. Mieczysław Urbański (cela nr 25)

94. Jakub Wachsberger (cela nr 23)
95. Majer Masser (cela nr 23)
96. Franciszek Witke (cela nr 22)
97. Władysław Wojtuszkiewicz (cela nr 22)
98. Witold Żółtoeńki (cela nr 16)
99. Piotr Zoszak (cela nr 24)
100. Józef Zych (cela nr 25)

Wspomniany wyżej dzień wigilijny, sobota 23 grudnia 1939 r., pozostanie mi w trwałej pamięci. Obarczeni pakunkami musieliśmy szybko z dworca kolejowego w Bochni maszerować, bez przerwy, prawie biegiem, ciągle poganiani przez policjantów wykrzyknikami: *los! los!* – do więzienia. Zegar więzienny wskazywał właśnie godz. 5.45, kiedy staliśmy na podwórzu więziennym ustawieni w dwuszereg i składano raport z naszego przybycia komendantowi tego obozu, *Standartenführerowi* Hermanowi Dolppowi, który zaraz na wstępie okazał swe zdolności, uderzając jednego z naszych kolegów tak silnie harapem w twarz, że ten się zakrwawił. Powodem tego było, że nie dość sprężyste stanął na baczność, wezwany przez strażnika więziennego Michała Sojkę. Zmęczeni i całkiem wyczerpani, bez pożywienia przez cały dzień, zostaliśmy objęci bezpośrednią opieką przez dozorcę więziennego, zajętego od kilku lat, a więc jeszcze za czasów polskich, w zakładzie więziennym, Michała Sojkę, który mieszkał w Leksandrowej, niedaleko Wiśnicza. Tutaj muszę zaznaczyć, że trudami całodziennymi byłem do tego stopnia znużony i wyczerpany, że ledwie dowlokłem się do tego więzienia, wspierany przez wspomnianego już przeze mnie śp. Józefa Przebindę oraz drugiego towarzysza niedoli, kierownika szkoły Stanisława Robaka. Sojka podzielił nas szybko na poszczególne grupy i wpędził nas do 15 cel położonych na parterze głównego budynku, a właściwie znajdujących się w podziemiu.

Ja z moim nieodłącznym kolegą Józefem Przebindą i Stanisławem Robakiem dostałem się na kilka dni do celi nr 14. Było nas w niej czternastu, a między nami znajdował się były poseł z grupy „Piasta” Paweł Toczek. Cella wąska, długa, była bardzo zawilgocona i ciemna. Łóżka żelazne, sienniki stare, grubo pokryte kurzem. Znużeni i wyczerpani, wszyscy wnet rzuciliśmy się na łóżka i przez chwilę biegnąc myślą do naszych, w noc wigilijną zasnęliśmy.

Rano zbudzono nas do robienia ogólnego porządku w więzieniu, które znajdowało się w dużym nieładzie i nieporządku. Poprzednio przetrzymywano tam przez jakiś czas jeńców

polskich. Niedziela znowu przeszła bez jedzenia, w miarę możliwości jeden drugiego odżywiał resztkami zapasów przywiezionych z więzienia przy ul. Montelupich, ale te już były bardzo skąpe. Polecono nam od razu wykonywać najprzykrzejsze roboty porządkowe, a co gorsza nie dano do tego żadnych narzędzi – ani szmaty, ani miotły, tak że sprzątanie musiało się odbywać gołymi rękami. Pod wieczór otrzymaliśmy trochę czarnej kawy. Nadszedł właściwy wieczór wigilijny. Wszyscy rozplakaliśmy się z okazji życzeń świątecznych Bożego Narodzenia. W duszach naszych ucichły na chwilę uczucia rozpacz, zwątpienia i nienawiści. Wszystkich nas ożywiła wiara, że dożyjemy następnej Wili Bożego Narodzenia już w wolnej Polsce i dlatego za chwilę byliśmy już w weselszych nastrojach, a nawet śpiewaliśmy kolędy. Dziwnie smutny był tego dnia Józef Przebinda. Zapłakany mówił do mnie: – Mecenas to dożyje, ale ja nie. Potem niejednokrotnie przy różnych sposobnościach podnosił to i nikt nie mógł go uspokoić, tak złowrogo przeczuwał, że nie danym mu już będzie oglądać gorąco przez niego ukochanego Krakowa.

Na drugi dzień, w święto św. Szczepana rozpoczęła się już programowa praca. Podzielono nas na oddziały. Część, przeważnie starszych, do których i ja należałem, przeznaczono do pomocy w kuchni, w szczególności do skrobania ziemniaków. Kucharzami we właściwym tego słowa znaczeniu byli Józef Immerglück i Bronisław Dziuban. Część kolegów poszła do czyszczenia korytarzy więziennych, innych zaś przeznaczono do sprzątanía podwórzy, następnych do noszenia węgla, do zakładowej elektrowni, resztę zaś skierowano do uruchomienia stolarni i ślusarni. Komornik Krawczyk był przeznaczony do pasienia świń. W tym to dniu spędzono nas do podziemia, gdzie znajdowały się magazyny odzieżowe więźniów, i tu kazano nam w piwnicach rozebrać się do naga mimo przenikliwego zimna oraz wydano każdemu z nas tylko bluzkę i spodnie aresztanckie, nie oglądając się na wielkość i wzrost danego więźnia. Niektórzy z nas wyglądali w tych garniturach okropnie. Własne ubrania musieliśmy złożyć, każdy na swej półce, oznaczonej numerem. Ja otrzymałem schowek pod numerem 94. Kosztowności – zegarki, pierścionki, wieczne pióra, zostały złożone osobno jako depozyt wartościowy. Płaszcz i czapek nie otrzymaliśmy. Wyszedł nawet zakaz używania własnej garderoby, tak że nie można było mieć przy sobie ani szalika, ani ciepłej bielizny. Tak ubrani żyliśmy przez całą zimę w 1939/1940 r., a tej zimy mróz bardzo często dochodził do 35 stopni C. Musieliśmy tylko w bluzkach i spodniach aresztanckich całymi godzinami być w pracy, na podwórzu lub w nieopalanym i nieoszlonych warsztatach. W tych warunkach bardzo dużo kolegów odmroziło sobie

wówczas uszy i ręce; między innymi adwokat krakowski dr Markus Spiegel, który potem zginął w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. W głównym budynku więziennym zajmowaliśmy cele najgorsze, bo prawie że w piwnicy leżące, kuchnia była jeszcze głębiej, zaś pralnia i tkalnia mieściły się w innym budynku.

Praca rozpoczynała się właściwie ze wschodem słońca, a kończyła z zachodem, z przerwą godzinną na tak zwany obiad, to znaczy na spożycie zupy kartoflanej lub buraczanej. Rano otrzymywaliśmy wodę czarną, a bardzo często – jakby na ironię – tylko gorącą wodę. Gdyby nie pomoc naszych rodzin w formie cotygodniowych paczek żywnościowych, które nam regularnie dostarczał PCK, względnie Rada Główna Opiekuńcza, musielibyśmy wkrótce umrzeć z wycieńczenia. Apele ranne i wieczorne, bez okrycia głowy, bez płaszczy, w czasie tak ciężkich mrozów, trwających przez kilka tygodni (odziani tylko w nędzną bieliznę więzienną) dawały się nam bardzo we znaki. Zmuszano nas jednak do pewnego humoru i śpiewu. Maszerując czwórkami dookoła podwórza więziennego, musieliśmy śpiewać popularne piosenki, na przykład *Miała baba koguta* itp.

Bezpośredni nadzór nad nami miał – jak już wyżej zaznaczyłem – dawny dozorca wiśnickiego więzienia Michał Sojka. Ten z chwilą wkroczenia Niemców zgłosił się do służby niemieckiej i za judaszowe srebrniki zdradził naród polski. Sojka obznajomiony z całym urządzeniem tego zakładu był duszą jego i sprężyną, on podsuwał wszystkie możliwe i niemożliwe plany komendantowi w kierunku naszego zatrudnienia, przeprowadzał podział pracy, on był niejako doradcą miejscowym właściwego komendanta obozu, Hermana Dolppa, który pełnił tę „zaszczytną funkcję” tylko do nowego roku 1940. Ten krótki czas jego panowania dał się nam jednak dobrze we znaki i poznaliśmy w nim człowieka, którego najgłówniejszym zajęciem było picie alkoholu i uganianie po całym zakładzie, zagłądanie w każdy kąt z nieodłączną trzcinką, względnie nahajem, którym częstował każdego, którego spotkał i którego mina mu się nie podobała.

Pierwszym jego zarządzeniem było usunięcie krzyża świętego z celi, a wykonania tego dopilnował z całą pasją. Wpadł więc raz do naszej celi, strącił harapem ze ściany wizerunek Ukrzyżowanego, wykrzykując: „Warum hängt der Hund noch hier”. Nas obecnych w celi ogarnęła trwoga, aby nas nie poczęstował za to „przestępstwo” biczyskiem po głowach, dając upust swej krwiożerczej wściekłości. On też polecił, aby następnie wszystkie krzyże z ukrzyżowanym Chrystusem zebrać do warsztatu stolarskiego i tam kazał odrywać blaszane

figury i rzucać na kupę śmieci, przy czym dla przykładu własnoręcznie pokazywał, jak to należy czynić. Nie potrzebuję podkreślać, z jakim uczuciem było wykonywane przez nas i ile sprawiało nam bólu moralnego wykonanie takiego dzikiego zlecenia.

Sam zawsze dobrze i ciepło ubrany, nam kazał na przykład godzinami wykonywać pracę koło zabezpieczenia rur wodociągowych na podwórzu i w stajniach wśród wielkiego mrozu, nie bacząc, że skostniałe – już odmrożone – ręce nie mogły tych robót sprawnie i, jak on zwykle żądał, w mig, bardzo szybko wykonywać. Podczas apelu, nieraz przy trzydziestostopniowym mrozie, bez nakryć głowy i bez płaszczy, przetrzymywał nas umyślnie swoją gadaniną, nie szczędząc szyderstw pod naszym adresem, a zwłaszcza oficerów Wojska Polskiego. Raz kazał wystąpić wszystkim oficerom. Oglądał ich ze wszystkich stron i odezwał się: „Armschlige Gestalten, bei uns ist ein Korporal besser” („Marne postacie, u nas kapral lepiej wygląda”). Zapomniał ten zbir, że wyczerpani już kilkunastotygodniowym więzieniem, brakiem odpowiedniego pożywienia, a dalej ubrani w brudne, zniszczone ubrania więzienne, bez możliwości umycia się z powodu braku urządzeń [sanitarnych] – nie mogli się prezentować jak on, który cały dzień pił, jadł, spał, golił się dwa razy dziennie i ubierał się w piękny mundur *Standartenführera*. Jak powiedziałem, panowanie jego trwało krótko, bo za dwa tygodnie odjechał na inne stanowisko, a zastępstwo jego objął chwilowo, rangą znacznie niższy, niejaki Funk, który – obiektywnie należy przyznać – w tym czasie w stosunku do nas zachowywał się całkiem poprawnie.

W połowie stycznia 1940 r. objął komendę *Standartenführer* Asmus. Był to ciekawy typ, milczek, lubiący wszystko dokładnie obserwować, nie zdradzając wobec nas żadnych zbrodniczych zamiarów i niskich instynktów, skrycie wydający dotkliwe dla nas instrukcje, udający niewiniątka, które nie chciało naszej krzywdy, a w gruncie rzeczy tolerujący z całą perfidią wszelkie wybryki i szykany strażników oraz ich pomocników.

Zaznaczam, że służbę wartowniczą z początku pełnili wyłącznie policjanci niemieccy w zielonych mundurach, przeważnie rezerwowi, rekrutujący się ze sfer dosyć inteligentnych: byli między nimi urzędnicy sądowi i bankowi. Oni, poznawszy nasze położenie i właściwy powód naszego przytrzymywania, odnosili się do nas na ogół dosyć względnie. Z ich strony było bez porównania mniej szykan jak ze strony Michała Sojki i innych, o których później wspomnę. Stosunek tej straży do nas pogarszał się wówczas, kiedy przychodziły do zakładu oddziały tak zwanych *Selbstschutzów* dla wzmocnienia

załogi więziennej. Byli to zaprzańcy, późniejsi volksdeutsche i reichsdeutsche, ubrani w czarne mundury. Były to słabe jednostki, Polacy bez czci i wiary, którzy zgłosili się do zdrazieckiej służby niemieckiej. Doznawaliśmy dużego upokorzenia, kiedy kazano nam, ludziom starszym i poważnym, oddawać honory takim przeważnie młokosom – przez zdjęcie czapek więziennych, trzy kroki przed nim i trzy kroki za nim.

Komendant zajmował piękną willę, w której przed wybuchem wojny mieszkał naczelnik więzienia Śledziejewski.

Teoretycznie nie byliśmy bez opieki lekarskiej. Był lekarz, naturalnie SS-man, niejaki dr Himmelbach, człowiek młody, który przeważnie na kilka dni w tygodniu jeździł na zabawy do Krakowa, a właściwą opiekę lekarską składał w ręce współwięźnia, ukończonego medyka Władysława Theuerlego, który później przeszedł na stronę niemiecką i był lekarzem wojskowym. Leczenie było bardzo problematyczne wobec braku środków leczniczych, zwłaszcza po wyczerpaniu skromnego zapasu, jaki został w zakładzie po więźniach, względnie po jeńcach polskich. Bogu dzięki, zdrowie nam mimo wszystko – z uwagi na wysokie położenie zakładu – dopisywało, bo oprócz ciężkiego rozchorowania się kolegi rejenta Adama Brzostyńskiego, wszyscy trzymaliśmy się dosyć dobrze. Nie mogę pominąć, że z wiosną, a więc w marcu lub w kwietniu 1940 r., zmarł jeden z kolegów, niejaki Winiarski, porucznik artylerii, pochodzący z Częstochowy, co do którego Sojka i jemu podobni twierdzili, że jest symulantem i jako takiego bito go i katowano. Dopiero śmierć przekonała strażników i doktora, że zmarł wskutek ropienia opon mózgowych, a to w następstwie ciężkiej rany, jaką odniósł na wojnie. Śmierć jego, pierwszego wśród nas, wywarła na wszystkich nad wyraz przygnębiające wrażenie. Ciało jego zostało w trumnie wydane rodzinie, a pogrzebany został na miejscowym cmentarzu w asystencji księży. Wspominam o tym dlatego, albowiem później pogrzebano jeszcze tylko jednego w trumnie, następnie zaś tego zaniechano, jak również nie zawiadamiano rodzin. Z czasem, wskutek niedostatecznego odżywienia i zimna oraz wielkiej wilgoci w celach, wielu kolegów zostało dotkniętych plagą czyraków, których nie można się było pozbyć. Sam także byłem dotknięty tym schorzeniem; chciano nawet wykonać zabieg operacyjny, ale ja – widząc, w jakich jestem rękach – wolałem zrezygnować „z wypróbowanych zdolności chirurgicznych” dra Himmelbacha, zdałem się na łaskę losu i przez sześć tygodni byłem zwolniony od skrobania ziemniaków, mając poruczoną jedynie czynność utrzymywania porządku w celi nr 28, do której po kilku dniach mego pobytu dostałem się, w towarzystwie Józefa Przebindy, Władysława Kochanka – nauczyciela szkoły ludowej, Stanisława Robaka – kierownika szkoły

powszechnej oraz wizytatora Władysława Brydy. Usunięty chwilowo od skrobania ziemniaków, zostałem także pozbawiony miłych pogadarek na rozmaite tematy naukowe i polityczne poruszane przez rektora Akademii Górniczej Jana Krauzego i redaktora Artura Popiela.

Cela nr 28, w której nas pięciu się znajdowało, była bardzo mała, bo zaledwie dwa i pół metra długa i dwa i pół metra szeroka. Łóżka na dzień były przypinane do ściany. Można się było domyśleć, jakie były warunki naszego bytowania, gdzie nie było miejsca nawet na umycie się. Przed wielkim zimnem broniliśmy się w ten sposób, że kradliśmy węgle z piwnicy, chowaliśmy je pod łózkami, aby w nocy rozpalać piec żelazny, który rozgrzewał się wprawdzie szybko, ale tylko w tym celu, aby po jego ostygnięciu jeszcze więcej odczuwać ziąb i wilgoć, zwłaszcza że wspomniana cela znajdowała się niedaleko ustępów.

Skoro jestem już przy tej nieestetycznej części budynku, urągającej najprymitywniejszym zasadom higieny, podnoszę, że utrzymanie tam porządku przez kolegów przeznaczonych do tej pracy wymagało od nich bardzo dużo zaparcia się siebie; był to szczyt poniżenia godności ludzi Bogu ducha winnych.

Strażnik więzienny Michał Sojka odbierał raporty naturalnie w języku niemieckim, który mu składał kolega więzienny dr Wacław Brodkiewicz, będący – jeżeli rzecz można – naszym przełożonym. Stanowił on łącznik między nami a Sojką. Funkcja ta była nad wyraz przykra i wymagała bardzo dużo energii i sprytu, aby nas w miarę możliwości ratować od szykan wśród tych ciężkich warunków. Zadanie to nad wyraz przykre spełniał ku naszemu ogólnemu zadowoleniu bez zarzutu aż do czasu swego zwolnienia, które nastąpiło 6 kwietnia 1940 r. Jemu to zawdzięczał niejedyn, że ze względów zdrowotnych lub ogólnego braku sił dostawał się do roboty, która pozwalała przetrwać ciężkie chwile. On też umiał niejednokrotnie wytłumaczyć Michałowi Sojce w przystępie jego dobrego humoru niejedno niedociągnięcie i uchronić nas od przykrości. Kiedy mu swego czasu za objawy koleżeńskiej życzliwości dziękowałem, nie chciał tej podziękii przyjąć, zaznaczając, że jest przekonany, że ja w stosunku do niego tak samo bym postąpił.

Na noc byliśmy zamykani na ciężkie klucze i wszystkie bramy więzienne były zamknięte, a na zewnątrz stały dzień i noc posterunki. Łączność ze światem była utrudniona, a jednak nie całkiem odcięta dzięki pomysłowej organizacji i pracy rodaków, o której pokrótce muszę wspomnieć z wyrazami mojego najwyższego uznania i dozgonnej

wdzięczności. Mam tu na myśli przede wszystkim p. Władysława Fireka, dyrektora zarządu dóbr ks. Lubomirskich w Nowym Wiśniczu, notariusza dr. Franciszka Hałatka w Nowym Wiśniczu oraz miejscowego restauratora i jego żonę Rudolfa i Genowefę Fileków. Wymienieni natychmiast, po prostu od chwili naszego przepędzenia z Krakowa do zakładu więziennego w Nowym Wiśniczu, zorganizowali nam pomoc tajną, zakonspirowaną i wielkie usługi nam oddającą. Przede wszystkim bardzo często rodziny nasze znajdowały schronienie u nich, nocowały i szukały [możliwości] nawiązania kontaktu z nami, głównie za pośrednictwem Władysława Rajskiego, maszynisty w elektrowni więziennej. Ten, niejednokrotnie obładowany pod płaszczem, prznosił najniezbędniejsze artykuły żywnościowe, a co ważniejsze – potrzebne lekarstwa. Gdyby nie jego bezinteresowna – co z naciskiem podnieść należy – pomoc, kto wie, czy kolega nasz żyjący, rejent Adam Brzostyński, zachowałby się przy życiu. Za jego pośrednictwem starano się (i często z bardzo dobrym skutkiem) udobruchać zresztą przekupnego Michała Sojkę. Przez ręce tych osób szła nasza korespondencja, nasze prośby i żale, nasze rozporządzenia ostatej woli, nasze podobizny po mistrzowsku wykonane przez kolegów więziennych Stanisława Żurowskiego, Tadeusza Korpala i Henryka Polichta. Wszyscy na wstępie wymienieni, narażając się niejednokrotnie na wykrycie tej tak surowo zakazanej pomocy, po prostu z narażeniem swego życia ratowali nas. Ponury i nie do zniesienia byłby ten czas w ciężkim więzieniu, gdyby nie ta nad wyraz ofiarna pomoc wspomnianych. Dlatego wdzięczność dla nich nasza i naszych rodzin jest dozgonna i nikt z nas im tego ratunku podczas potopu nie zapomni. Należy się im wszystkim cześć za wysoce patriotyczną działalność w stosunku do nas, tych pierwszych politycznych więźniów na ziemi polskiej, a co najważniejsze, za działalność wykonywaną tak sprawnie i przy tym tak skrycie, że o bliższych szczegółach i osobach dopiero po naszym zwolnieniu dokładnie dowiedzieć się mogliśmy. Jednemu z naszych kolegów, adwokatowi drowi Tadeuszowi Turkowi udało się zorganizować spotkanie z żoną, mgr farmacji Jadwigą Turkową, która w przebraniu wieśniaczym dostała się do wnętrza zakładu. Możliwe to było o tyle, że wewnątrz zakładu znajdował się tartak i za drobną opłatą umożliwiano wylegitymowanym osobom wstęp. W tym miejscu zauważam, że kolega Tadeusz Turek od 3 lutego 1940 r. pełnił identyczne funkcje na drugim oddziale, jakie na pierwszym sprawował dr. Wacław Brodkiewicz.

Sami strażnicy byli dobrze odżywiani, dbali o swój wikt, chowano dla nich świnie, urządzali bardzo często świniobicia, dobrze zakrapiane alkoholem. Zachowanie ich w stosunku do nas, jak już zaznaczyłem, w tym czasie było znośne.

Minął styczeń i 3 lutego 1940 r. nadszedł z Krakowa następny transport z więzienia przy ul. Montelupich, składający się z mniej więcej 80 osób. Przybyło ofiar gestapowców. Dostaliśmy nowych kolegów, między nimi przyszedł dawny więzień brzeski, adwokat dr Józef Putek; dawny wojewoda krakowski Michał Gnoiński; prałat Józef Rychlicki; mistrz malarski Stanisław Żurawski; prof. teologii ks. dr Marian Morawski; pułkownik Sztabu Generalnego Pietras; prof. gimnazjalny dr Adam Matuszek; prof. gimnazjalny Jan Leśniak; prof. gimnazjalny Wacław Babulski; profesor gimnazjalny Józef Hajdukiewicz; bardzo wielu księży jezuitów, między nimi: ks. Wiktor Macko, ks. Piotr Turbak, ks. Adam Kozłowiecki, ks. Józef Cyrek, ks. Stanisław Podoliński, ks. Józef Krzyszkowski, redaktor Misji Katolickiej ks. Tadeusz Kamiński, brat zakonny Karol Hawełka i wielu kleryków z zakonu jezuitów.

Następny transport nadszedł 15 marca 1940 r. w liczbie przeszło stu osób. Wśród nich znajdował się sędzia Sądu Okręgowego w Krakowie Władysław Bobilewicz, wiceprokurator Sądu Okręgowego Jerzy Bieńkowski oraz mój dawny klient dr Roman Starzycki, ostatnio lekarz w Katowicach.

Potem nadeszły jeszcze dwa lub trzy mniejsze transporty z Tarnowa, między nimi znajdowało się kilku inżynierów z Mościc, ale ci już nadeszli prawie że w ostatnich dniach naszego pobytu w zakładzie więziennym w Nowym Wiśniczu.

Wiosna 1940 r. zaczęła się późno. Po ciężkich, kilka tygodni trwających mrozach, tęskniliśmy wszyscy do ciepła, a jeszcze więcej do kąpieli. Zwolna słońce zaczęło coraz mocniej przygrzewać, rosły nasze nadzieje, że wnet skończą się nasze udręki. Zakres pracy rozszerzył się. Wszyscy musieli być zajęci. W stolarni, w której wyrabiano podczas zimy łopaty do zgarniania śniegu i masami je wywożono, robiono wcale piękne szafy i wykonywano wiele robót ciesielskich. Kierownikiem ich był dawny poseł z „Piasta”, Paweł Toczek. On to, głównie ze swymi krewnymi z okolic Sanoka, budował altany i dużą klatkę przy wejściu do zakładu więziennego, dla mającego powstać małego zwierzyńca. Na razie za naszych czasów znalazła się tam tylko sowa. W tkalni wyrabiano na wywóz płótno bardzo dobrej jakości i wiele go też autami wywieziono. W tejże tkalni pracował mój towarzysz więzienny, Władysław Kochanek. Właściwe kierownictwo fachowe spoczywało w ręku instruktora, który za polskich czasów był kierownikiem technicznym tego działu. Bardzo dużo kolegów było odkomenderowanych do sprzątniania koszar strażników oraz biur kancelaryjnych. Między innymi kolega dr Bolesław Rozmarynowicz, profesorowie: Eugeniusz Drozdziowski,

Franciszek Bielak, Rudolf Niemiec, Ludwik Stopka, Antoni Nykliński. Profesor Rudolf Niemiec obok tego spełniał ważną funkcję przy rozdziale paczek żywnościowych raz w tygodniu, najczęściej w sobotę. Były wojewoda krakowski Michał Gnoiński był telefonistą i miał największą styczność z komendantem obozu Asmusem i miał wobec tego bardzo często możliwość usłyszenia od niego rozmaitych uwag i poglądów wielkoniemieckich na świat. Kolega Józef Zych pełnił służbę pomocnika sanitarnego w tak zwanym rewirze i do niego należało opalenie sali ambulatoryjnej, bo o szpitalu we właściwym tego słowa znaczeniu nie było mowy. Jemu do pomocy był przydzielony przez dłuższy czas Leopold Hirsch, zmarły później w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Od prac – że tak powiem – zakładowych zwolnieni byli Stanisław Żurawski, Henryk Policht i Tadeusz Korpal, którzy jako znakomici malarze i rysownicy, nagabywani i zachęceni przez wartowników i komendanta obozu, musieli prawie całymi dniami i wieczorami malować, względnie rysować portrety i wizerunki ich samych i ich rodzin, a ponadto wyżej wymienieni nie szczędzili trudu i pozostawili po sobie cenne pamiątki w postaci portretów współwięźniów – malowanych czy rysowanych.

Jak zaznaczyłem, z wiosną zakres pracy o tyle się rozszerzył, że przybyło zajęcie w ogrodach. Przeznaczono do tego piętnastu, a z czasem powiększono tę liczbę do 35 osób. Należało do nich sprzątnięcie zaniedbanego obozu, zakładanie nowych grządek, kopanie, względnie pogłębianie rowu przydrożnego, nawożenie gruntu pod uprawę jarzyn, polewanie wodą i nieczystościami pobranymi z dołu kloacznego ogrodu przeznaczonego do sadzenia warzyw. Do wspomnianych robót wyznaczeni zostali przeważnie starsi wiekiem. Wśród nich znalazłem się i ja, a towarzyszymi mej pracy byli: katecheta gimnazjalny ksiądz prałat Józef Rychlicki, literat prof. dr Jan Pietrzycki, sędzia Władysław Bobilewicz, poseł dr Józef Putek, rektor Akademii Górniczej inż. Jan Krauze, wizytator Władysław Bryda, kierownik szkoły Władysław Robak, rejent Adam Brzostyński, dyrektor „Ruchu” Stanisław Szeremeta, księża: prof. dr Marian Morawski, Kazimierz Dębowski, Piotr Turbak, Józef Cyrek, Stanisław Podoliński, profesorowie: Antoni Reinin i Wincenty Janik. Koledzy profesorowie dr Adam Matuszek i Jan Leśniak, znakomici artyści robót inkrustowanych, przepracowywali się nad robotami artystycznymi zleconymi im przez wachmistrzów i komendę, a w szczególności wyrabiali piękne stoliki, względnie płyty do szachów i rozmaite pudełka, nie szczędząc i dla nas bardzo dużo czasu, dzięki czemu niejednen z nas wywiózł piękną pamiątkę z tych czasów. Bardzo przykrą pracę mieli koledzy zajęci w pralni, między innymi Rudolf Szuster, Władysław Kibała i Piotr Zoszak. Praca ta była bardzo ciężka. Mało kto jednak dawał bieliznę do prania,

albowiem nie było tam mydła i każdy wolał sobie przeprać bieliznę w celi, obawiając się zamienienia bielizny albo, co gorsza, aby nie otrzymać jej z powrotem z wszami. Zamiatanie podwórza więziennego należało do mego serdecznego przyjaciela i współtowarzysza mojej wędrówki, kierownika szkoły Stanisława Robaka i pułkownika dyplomowanego Pietrasa. Oni też prawie nigdy nie wypuszczali z rąk miotel. Zimą należałem również do tej grupy i obok zamiatania śniegu rąbaliśmy cały dzień lód w rynsztokach. Była to praca w zasadzie zdrowa, lecz brakowało nam cieplejszego odzienia, a jeszcze bardziej odżywienia. Mój niezapomniany przyjaciel Józef Przebinda pracował w ślusarni z kolegą, profesorem gimnazjalnym Kazimierzem Fiołem – ciężko, przy rozbijaniu czołgów. Mimo moich perswazji całą swoją energię wyładowywał w najcięższych robotach ślusarskich. Mając do tego zdolności, robił dla kolegów, nieraz bez odpoczynku, rozmaite pamiątki z metalu, jak obrączki żelazne czy krzyżyki z blachy miedzianej z odpowiednimi napisami. Jestem w posiadaniu takiego krzyżyka, który musiał być zawsze dobrze schowany, a który stanowi dla mnie cenną relikwię po nim. Koledzy oddawali ostatnią przysługę zmarłym jako tak zwani *Totengräber* – kopiąc grób i grzebiąc ofiary terroru hitlerowskiego. Ilekroć dozorca Michał Sojka zawołał: „Totengräber heraus!” – wiedzieliśmy, że znowu zmarł któryś z więźniów.

Z wiosennego przydziału pracy byłem tym bardziej zadowolony, że z początkiem kwietnia 1944 r. przeniesiono nas z celi nr 28 do obszernej celi nr 6, z pięknym widokiem na Nowy Wiśnicz. Równocześnie przeniesiono innych kolegów, tak że zajęliśmy trzy cele pod numerami: 5, 6 i 7, w których umieszczono nas w liczbie około stu. Przy tej okazji wspominał nam Sojka, że zazwyczaj w tych celach umieszczano więźniów, mających opuścić więzienie, czyli jak mówił: „mających iść na świat” i dlatego tę część zakładu nazwano „na świecie”. W celi numer 6 przebywali wówczas ze mną nieodłączni moi przyjaciele Stanisław Robak i Józef Przebinda, a nadto dyrektor „Ruchu” Stanisław Szeremeta, literat dr Jan Pietrzycki, adwokat dr Tadeusz Turek, prof. Jan Bałabuszyński, Stanisław Jara, Paweł Dziuban, Stanisław Hess i Adam Różycki – razem czternastu.

Muszę w tym miejscu wspomnieć, że prof. Jan Pietrzycki często uprzyjemniał nam wieczory, nieraz do późnej nocy, wykładami i swymi wspomnieniami z podróży po Italii.

Z przydziału do pracy pod gołym niebem byliśmy bardzo zadowoleni, albowiem na słońcu i świeżym powietrzu mogliśmy leczyć się z plagi czyraków, blednicy i reumatyzmu. Młodszy koledzy usiłowali korzystać z kąpeli słonecznych, lecz ściąganie przy pracy grubych bluz

więziennych i koszul zostało zakazane przez komendanta Asmusa, tak że nawet podczas największego upału musieliśmy pracować cały czas w bluzach. Zakaz powyższy został wydany przez komendanta Asmusa po wizycie pewnej liczby Niemek, które oglądały zakład, widziały nas pracujących w ogrodzie i wyraziły zdziwienie jak mogą „niewolnicy” tak swobodnie pracować.

Zatrzymam się przez chwilę przy osobie komendanta Asmusa. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu i atletycznej budowy ciała. Chodził zazwyczaj uzbrojony w dubeltówkę, potężny rewolwer i harap. Był to człowiek małomówny, mimo to był on inicjatorem wszystkich naszych udręczeń i poniżeń, których wykonawcami byli strażnicy Sojka, Jan Rzepka pochodzący z powiatu bocheńskiego, następnie Maschner, Mader oraz cała sfera *Selbstschutzów*, a mianowicie: trzech braci Fröhlichów pochodzących z Nowego Sącza oraz często zmieniający się strażnicy policyjni. W miarę przybywania nowych więźniów władza Michała Sojki rozszerzała się. Stał się on właściwym naczelnym dozorcą, on odbierał raporty, a strażnik Jan Rzepka opiekował się oddziałem jednym, to jest moim, zwanym blokiem pierwszym, zaś drugim blokiem – Maschner i Mader, którzy mieli nadzór nad stu kilkunastoma więźniami przywiezionymi w maju 1940 r. do więzienia dla odcierpienia kar orzeczonych wyrokami sądowymi. Byli to przeważnie więźniowie zasądzeni przed 1 września 1939 r., a zwolnieni z więzienia z chwilą wybuchu wojny, oraz więźniowie przewiezieni z innych zakładów karnych, a osądzeni już przez sądy niemieckie za rzekome zbrodnie tego rodzaju jak tajny ubój czy posiadanie radia. Tych więźniów traktowano w sposób nieludzki. Nie wolno im było wychodzić na powietrze, byli stale zamknięci, a Mader i Maschner torturowali ich przy każdej sposobności. Okrucieństwa tych ostatnich posuwały się do tego stopnia, że niejednokrotnie kazali swym ofiarom kłaść się na ziemi, a oni skakali ze stołu na nich. Z litości niejednokrotnie rzucaliśmy tym więźniom – ukradkiem przez okna – trochę chleba, którego sami nie mieliśmy pod dostatkiem, lub papierosa. Cele, w których umieszczeni byli ci nieszczęśliwcy, nazywano kryminalnymi. Nazwa ta była nieścista i w wielu wypadkach krzywdząca, albowiem wśród więźniów tych byli zasądzeni za posiadanie radia, tajny ubój i temu podobne „zbrodnie” (w myśl poglądów narodowo-socjalistycznych). Na tym oddziale, który nie miał nic wspólnego z naszym, śmiertelność była bardzo wysoka, a większość umierała na gruźlicę. Więźniów z otwartą gruźlicą umieszczono w jednej celi. Pamiętam, że z jednego transportu więźniów politycznych z Krakowa zamknięto w tej celi na tydzień, za karę za ucieczkę z więzienia przy ulicy Montelupich, brata Floriana (lat 27)

z zakonu braci albertynów. Przebywał [później] w obozie w Dachau. Do Wiśnicza przybył on w towarzystwie byłego brata starszego Zgromadzenia Braci Albertynów, Wincentego (lat 66) oraz brata Serafina (lat 59), którzy dostawszy się następnie przez obóz w Oświęcimiu do Dachau, tamże zmarli.

Jak wspomniałem Asmus niejednokrotnie próbował swoich zdolności „dobrego strzelca”. Strzelał on do figur świętych umieszczonych na zewnętrznej stronie kościoła więziennego w stylu barokowym, bardzo dobrze utrzymanego, a pochodzącego z XVI lub XVII w. Strzelali do tych figur także *Selbstschutze* dla zabicia czasu w dni świąteczne. Do kościoła tego nie mieliśmy dostępu, a odprawianie mszy, nawet w czasie świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i Zielonych Świąt, było zakazane.

Prawie wszyscy byliśmy ludźmi wierzącymi i odczuwaliśmy potrzebę modlitwy i słuchania mszy św. Tymczasem komenda obozu uniemożliwiła nam wykonywanie jakichkolwiek praktyk religijnych, nie pozwalając nawet na wstęp do kościoła. A jednak dzięki temu, że wśród nas znaleźli się prawdziwi kapłani – pełni poświęcenia i odwagi, dane było nam, katolikom przeżywanie chwil, których żaden z nas z pewnością nie zapomni nigdy. Niektóre cele więzienne stały się kaplicami. Wielkoduszni kapłani, rozumiejąc swoją wielką misję, opierając się na zezwoleniu papieskim przesłanym im w drodze tajnej – sprytnie ukrytym w rogach dostarczanych nam paczek żywnościowych – odprawiali często msze św. w celach i zanosili do Boga bezkrwawą ofiarę na intencję naszego dobra. Nie mam słów na opisanie takiego wzniosłego nabożeństwa. Półmrok więzienny silnie zakratowanych cel, czujki na straży przy wejściu, zwykły stół w miejsce ozdobnego ołtarza. Skromny obrazek świętego w miejsce relikwii. Zamiast pięknych szat liturgicznych – szare więzienne ubranie. W miejsce kielicha zwykły kubek aluminiowy lub szklanka, ministrantami koledzy aresztanci, najczęściej Ludwik Stopka, dr Bolesław Rozmarynowicz i prof. Franciszek Bielak. Wszystko nastrajało tak, że przeżywaliśmy w głębokim uwielbieniu całe życie Chrystusa na ziemi. Każdy z nas stał więc w ubogiej stajence, dokąd go wiodła gwiazda betlejemska, słyszał głośno i wyraźnie nauki Chrystusa, był z nim na Golgocie, pod krzyżem i patrzył na jego męki, a w modlitwie szukał i zawsze znajdował wzmocnienie do zniesienia tej twardej próby losu. Niezapomniane te chwile, które dawały nam tyle emocji, że nie załamał się żaden, a niejeden – dotychczas słaby w wierze – stawał się z każdym dniem coraz silniejszy. Do końca życia nie zapomnę tych czcigodnych kapłanów, którzy z narażeniem swego życia pozwalali nam przeżywać najwznieślijsze chwile naszego życia, chociaż w tak okropnych warunkach. Te przeżycia

zupełnie przygłuszały bunt naszych dusz, że jeszcze w XX w., my, wyznawcy Chrystusa, zostaliśmy spędzeni do podziemia i że nie wolno nam jawnie w domu Bożym w podniosłym nastroju chwalić Najwyższego, dziękować za te cierpienia, które na nas zesłał i błagać o zwycięstwo sprawiedliwości i prawdy dla naszej ojczyzny.

Pierwszą mszę św. w celi odprawił ks. prof. dr Marian Morawski, następne ks. Wiktor Macko, ks. prałat Józef Rychlicki, ks. Józef Magier i ks. Kazimierz Dębowski. W tym miejscu nie mogę pominąć bardzo ważnej funkcji, którą spełniał maszynista zakładowy Władysław Rajski. Był on przemytnikiem wina mszalnego i z jego pomocą udała się ta ciężka misja księży. Bez jego trudu i narażenia się na najgorsze konsekwencje nie dałoby się tego przeprowadzić. Czynił to z gorliwością dobrego katolika, rozumiejąc, czym dla nas wszystkich była w tych warunkach msza św. i jak kapłani więźniowie odczuwali święty nakaz Boży, którego nie mogli wykonać wobec dziwiej i bezmyślnej brutalności najeźdźców, którzy wszystko, co święte, deptali i usiłowali wyrwać z naszych serc.

Płynęły dni i miesiące, a nic nie wskazywało na to, abyśmy mogli odzyskać wolność. Zaczęliśmy się oswajać z tą myślą, że przyjdzie nam tam umrzeć, chociażby nawet naturalną śmiercią, z powodu ogólnego wyczerpania i niedostatecznego odżywienia oraz bądź co bądź wyczerpującej pracy. Nic dziwnego, że zacząłem myśleć o sporządzeniu testamentu. Trudność polegała na tym, jak napisane i podpisane przeze mnie własnoręcznie rozporządzenia przesłać do moich braci w Krakowie. Zgłosić się w kancelarii u komendanta obozu pracy Asmusa, z zamiarem spisania ostatniej woli nie uważałem za wskazane, albowiem nie chciałem uprzytamniać komendantowi, że liczę się z tym, iż muszę zginąć w więzieniu. Z drugiej strony obawiałem się ewentualnej represji z tego powodu, że pisząc testament, mam zamiar oskarżyć pośrednio organa nadzorcze o takie postępowanie względem nas, że z góry liczymy się z niemożliwością odzyskania wolności i ze śmiercią. Nie poszedłem więc do komendanta, chociaż do tego namawiał mnie niedostatecznie zorientowany kolega, mówiąc, że gdy zgłoszę się w kancelarii, odzyskam na pewno wolność, albowiem pochodzę z rodziny austriackiej. Koledze temu wytłumaczyłem, że urodzony i wychowany na ziemi krakowskiej, umiłowalem godność narodową polską, że wolę zginąć, niż splugawić swoje imię i nazwisko i narazić na wstyd i hańbę moją rodzinę. Pewnie ów kolega niejednokrotnie przypominał sobie moje stanowisko w tej sprawie, co do którego jako Polak nie mógł mieć żadnych wątpliwości, ponieważ uważałem, że niegodną było rzeczą przypominać sobie, skąd babka lub dziadek pochodzi – celem uzyskania dla siebie korzyści

materialnej, a nawet dla ratowania życia czy zdrowia. Sprawę testamentu uważałem za stokroć ważniejszą i realniejszą i dlatego, przy pomocy kolegi Rozmarynowicza i organizacji, o której wyżej wspomniałem, moje rozporządzenie ostatniej woli z datą 7 kwietnia 1940 r. spisane w więzieniu w Nowym Wiśniczu dostało się do rąk moich braci i jest obecnie w moim posiadaniu, w zamkniętej i nienaruszonej kopercie.

Na zapytanie, czy ktoś z naszych kolegów usiłował z obozu pracy w Nowym Wiśniczu ratować się ucieczką, odpowie twierdząco. Wiosną 1940 r., z końcem marca lub na początku czerwca, zbiegło dwóch młodych więźniów, których bliżej nie znam. Ślad po nich zaginął, a doszły nas potem słuchy, że udało im się zbiec do Warszawy. W związku z tym ogłoszono nam, że jeżeli który z nas spróbuje zbiec, natenczas zostanie rozstrzelanych dziesięciu więźniów. Przyjęliśmy to oświadczenie (ostrzeżenie) do wiadomości w tym głębokim przeświadczeniu, że żaden z nas, zwłaszcza z tych, którzy pierwsi dostali się do więzienia w Nowym Wiśniczu, nie zrobi tego. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ucieczka będzie po prostu morderstwem na pozostałych kolegach i pogrążymy w głębokim smutku i tak już ciężko dotknięte rodziny. Wszyscy my, starsi byliśmy swoich pewni i liczyliśmy stanowczo na nasze rychłe zwolnienie, ponieważ wszyscy byliśmy „bez grzechu”.

15 maja 1940 r. nadszedł znowu z Krakowa transport więźniów politycznych składający się z kilkudziesięciu osób. Nie wiem, ale przypuszczam, że ci z tego transportu również zostali pouczeni o strasznych skutkach nawet usiłowania ucieczki. 27 maja, mniej więcej około godziny dziesiątej, zbiegł (podczas roboty na zewnątrz zakładu, zresztą bardzo lekkiej: obcinanie gałęzi z wyrąbanych drzew) więzień z tej grupy, nieznan mi bliżej niejaki Krzykacz, pochodzący podobno z Krakowa. Jakkolwiek jestem rodowitym krakowianinem, z tym nazwiskiem nie spotkałem się nigdy – być może, że był to jego pseudonim. Spędzono nas natychmiast do cel i zarządzono energiczny pościg za zbiegiem przy pomocy wszystkich pozostających do dyspozycji środków, a więc koni i motocykli. Pościg nie dał żadnego rezultatu. Nie dowiedzieliśmy się, czy nieszczęsny Krzykacz uratował swoje życie i czy ono było tak cenne, że za nie musiało zginąć dziesięciu, względnie jedenastu więźniów – skądinąd cenionych i poważanych. Zginęli jak męczennicy, zginęli przedwcześnie, ale zgodnie z wolą Bożą, bo dla nich nie było nadziei wyjścia z życiem z tej opresji, w której się znajdowali. Skrócono im udręki w bestialski sposób, ale to nie było celem zbiegłego Krzykacza. Jemu chodziło jedynie o własne życie, a nie o życie kolegów. Być może, że nad tym się nie zastanawiał, a może nie słyszał ostrzeżenia. Może wreszcie nerwy odmówiły mu

posłuszeństwa i instynkt samozachowawczy popchnął go do tego kroku. Dlatego trudno osądzić postępek zbiegłego, sąd nad nim musi być odroczony aż do Sądu Ostatecznego, bo nikt z nas osądzić go nie może bez jego wysłuchania.

Z tą ucieczką łączy się także morderstwo popełnione na osobie więźnia dra Romana Starzyckiego, lekarza z Katowic, który zaledwie od 15 marca 1940 r. znajdował się w naszym obozie pracy, a swego czasu został zatrzymany koło Baligrodu, w czasie swego powrotu do kraju z ucieczki, w związku z posiadaniem waluty obcej. Otóż, na alarm z powodu ucieczki Krzykacza, musieliśmy wszyscy biegiem udać się do swych cel, przerywając nasze roboty. Nieszczęśliwy dr Roman Starzycki spóźnił się trochę z powrotem do celi. Przychwycony przez strażnika Jana Rzepkę, będącego w towarzystwie Maschnera i Madera, już po wejściu do zakładu więziennego, został przez niego rzucony z całej siły na kamienną posadzkę i zastrzelony. Oprawcy zawlekli go następnie do ciemnicy i tam leżał przez dwa dni. W trzecim dniu wywieźli go, razem z dwoma trupami zwykłych więźniów, na wozie fornalskim do lasu znajdującego się obok zakładu i tam go pogrzebali. Przykra scena zaszła także przy wywożeniu jego zwłok. Jeden ze strażników – dzisiaj już nazwiska nie pamiętam – zwrócił się do fornala, który pełnił służbę w zakładzie przy koniach, aby sobie zdjął buty śp. dra Starzyckiego. Ten odmówił, bo skoro w butach umarł, niech będzie w butach pochowany. Podnoszę to na chwałę polskiego chłopca, który będąc w biedzie, umiał uszanować majestat śmierci i swoją godność osobistą i nie zbrudził swoich rąk, mimo zachęty ze strony zdrajcy narodu. Złakomił się na te buty, niestety, nasz kolega więzienny, niejaki Unger, który zdjął je, a być może uczynił to ze strachu, aby go strażnik nie pobił. Fakt ten nie przyniósł mu szczęścia i niedługo w tych butach chodził, albowiem on właśnie znalazł się w dziesiątce, która zginęła z rąk zbirów. Nie wiem, czy to kara Boża, czy podstęp i dalsza zdrada któregoś zdrajcy narodu wprowadziła go następnie w te nieszczęśliwe szeregi, które musiały dać swe życie za wyczyn Krzykacza. Wszyscy, a specjalnie ja, byłem bardzo wzruszony tą tragiczną śmiercią mego dawnego klienta, który z pewnością, będąc bardzo wątłego zdrowia, i tak nie oglądałby wolności. Fakt takiego bestialskiego morderstwa, a następnie fakt, że karta pośmiertna podpisana przez lekarza dr. Himmelbacha [głosiła], że Unger zmarł śmiercią naturalną (zapalenie płuc), ogromnie mną wstrząsnęły.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że wdowa po śp. Starzyckim nie otrzymała żadnego zawiadomienia o śmierci męża. Dopiero na kilkakrotną prośbę o podanie bodaj adresu pobytu męża, zawiadomiono ją z ul. Pomorskiej, że mąż został zastrzelony z powodu chęci ucieczki,

co było wierutnym kłamstwem. Rodziny nie zawiadamiano dlatego, aby nie wykryto od razu bestialskiego morderstwa, gdyby ta zażądała wydania zwłok.

Przez pierwsze dni po tym tragicznym wypadku żyliśmy w niepokoju, kto z nas przyptaci życiem krok Krzykacza i w jaki sposób zostaną wyznaczeni na śmierć koledzy więźniowie. Kilka dni przeszło spokojnie. Zaczęliśmy się pocieszać, że może tragiczna śmierć śp. Romana Starzyckiego będzie dla gestapowców dostateczną ekspiacją za nieobliczalny czyn człowieka, zdaje się ogromnie zrozpaczonego i zdecydowanego na wszystko. Pracowaliśmy dalej spokojnie w ogrodzie i przy swoich warsztatach pracy aż do 4 czerwca 1940 r. W tym dniu po pracy, koło godziny piątej, wywołano, a następnie umieszczono w osobnej celi następujących dziesięciu kolegów: sędziego Sądu Okręgowego w Krakowie Władysława Bobilewicza, wiceprokuratora Sądu Okręgowego w Krakowie Jerzego Bieńkowskiego, ks. Ferdynanda Machaja ze Zgromadzenia ks. Filipinów w Tarnowie, Jerzego Libana porucznika rezerwy WP, następnie trzech powstańców z Górnego Śląska: Kanię i dwóch braci Pistulów oraz niejakich Kränzlera, Ungera i Wachsa. Po wywołaniu wyżej podanych odezwał się Mader do księdza Ferdynanda Machaja: „Teraz będziesz komendantem na innej celi”. Nie uważaliśmy tego za coś nadzwyczajnego, bo często zmieniano skład osobowy w poszczególnych celach. Wywołani poszli do cel, zabrali swoje rzeczy i ulokowali się w innej celi, której numeru dzisiaj nie pamiętam. W każdym razie cela ta znajdowała się na parterze budynku więziennego, niedaleko od tej, w której ja przebywałem. Mniej więcej między trzecią a czwartą rano następnego dnia, to jest 5 czerwca (zazwyczaj już od drugiej nie spałem), usłyszałem stuk podkutych butów, zgrzyt kluczy, trzask zasuw drzwi więziennych i stąpanie kilku osób. Zrazu sądziłem, że to nowy transport więźniów – to jednak było nieprawdopodobne z uwagi na wczesną porę. Za chwilę powtórzyło się to samo, a potem nastąpiła grobowa cisza. Zbliżyła się godzina pobudki, wstawania i rozdawania kawy. Byliśmy bardzo zdziwieni, gdy po śniadaniu nie wezwano nas do żadnej pracy, lecz zamknięto z powrotem w celach.

Dopiero po południu, o pierwszej, stanęliśmy do apelu i do pracy. Do apelu nie zgłosiło się dziesięciu wyżej wymienionych kolegów. Tym faktem byliśmy bardzo zdziwieni i nie mogliśmy zrozumieć ich zniknięcia, lecz nikt nie miał odwagi ani możliwości zapytać, co się z nimi stało i gdzie się znajdują. To samo było na drugi i trzeci dzień. Nikt z wtajemniczonych nie mówił, co się z nimi stało, zwłaszcza że komendant obozu, względnie jego zastępca Wloka (komendant w tym czasie wyjechał na krótki urlop), nie ogłosił, że wykonano wyrok, którym zagrożono w razie ucieczki więźnia. Zaczęliśmy się jedynie domyślać, co mogło się stać z kolegami.

Niektórzy z nas, a zwłaszcza kolega, dr Putek, utrzymywali uparcie, że dziesięciu, których wybrano, wywieziono do innego obozu. Putek podawał nawet przypuszczalne miejsce ich dalszego pobytu, a mianowicie Tarnów, względnie Radom, lecz opierał się tylko na przypuszczeniu. Ja natomiast zacząłem zbierać wszelkie poszlaki w kierunku wskazania, że więźniów tych zamordowano. Przede wszystkim wstrzymanie nas od robót przed południem 5 czerwca 1940 r. nastąpiło niewątpliwie z tego powodu, że *Selbstschutze* z Maschnerem, Maderem, Sojką i Rzepką na czele zapijali w tym dniu „robaka” sumienia wódką. Po potwornej – godnej oprawców – zbrodni byli oni strudzeni wczesnym wstaniem oraz zmęczeni i wyczerpani widokiem mąk i krwi niewinnych ludzi, nad którymi się pastwili. Według przechwałek Madera i Maschnera pastwili się oni zwłaszcza nad księdzem Machayem, którego Madej chorobliwie nienawidził, a którego (Madera) *vox populi* oskarżał o najczynniejszy udział w tej potwornej zbrodni. Że oni byli sprawcami tego mordu, dalszym dowodem jest fakt, że zabrali nam niektórym, pracującym w ogrodzie, łopaty, których w tym dniu daremnie szukaliśmy, a na drugi dzień znaleźliśmy je ubłocone gliną. Na tej podstawie przypuszczam, że strażnicy używali tych łopat do kopania dołu i pochowania zwłok w parowie w lasku koło zakładu więziennego. Zaznaczam, że zazwyczaj zmarłych chowano w innym miejscu. Brak świeżych grobów w zwykłym miejscu utwierdzał niektórych z nas w przekonaniu, że koledzy nasi nie zostali jednak zamordowani. Argument ten wysuwał niejednokrotnie dr Putek. Nadmieniam, że równocześnie z nami w zakładzie więziennym przebywały trzy kobiety, a mianowicie: P. Uhlowa, Starkówna i Wiktorówna. Okna ich celi wychodziły na ogród i koło tych okien właśnie musiało się przechodzić, chcąc dostać się do lasku, względnie parowu znajdującego się w lesie, a odległego od zakładu o trzysta do czterystu metrów. Pewnego dnia, a było to po 5 czerwca (1940 r.) w czasie naszej pracy w ogrodzie, to jest przy wyciąganiu nieczystości z dołów kloacalnych i polewaniu ogrodu, jedna z tych pań, która, tego nie pamiętam, opowiedziała niektóre szczegóły dotyczące stracenia dziesięciu więźniów. Mówiła ona, że najpierw prowadzono pięciu związanych, a następnie znowu pięciu. Zgadzałoby się to z tym, że ja dwukrotnie słyszałem w nocy wychodzenie kilku osób. Następnie podała, że kobiety przechodzące nad ranem do miasta drogą obok zakładu mówiły na odgłos strażów w lesie, że „znowu komuś dogodzili”. Wiarygodność tych informacji była dla mnie zupełna, jakkolwiek kolega Putek skłaniał się do przypuszczenia, że opowiadania te mają podkład historyczny. Wydawało mi się nieprawdopodobne, by ofiary wywieziono w mundurach aresztanckich i w ten sposób uszczuplono inwentarz więzienny. Za pośrednictwem więziennego kolegi Stanisława Jary, zatrudnionego w magazynach,

stwierdziłem, że ubrania zaginionych więźniów, a w szczególności sędziego Władysława Bobilewicza i prokuratora Andrzeja Bieńkowskiego, leżą jak zwykle na wyznaczonych miejscach. Po kilku dniach, kiedy zauważyłem, że niektórzy *Selbstschutze* wnoszą z zakładu jakieś walizki, zwróciłem się ponownie do Stanisława Jary z prośbą, aby zbadał, czy rzeczy po zaginionych są nadal na swoich miejscach. Tego samego dnia zawiadomił on mnie, że rzeczy tych już tam nie ma. Było dla mnie wtedy jasne, że *Selbstschutze* rzeczy po zaginionych po prostu skradli. Z każdym dniem nabierałem coraz to większej pewności, że 5 czerwca nad ranem, między godziną trzecią a czwartą w parowie w lasku koło zakładu wiśnickiego rozegrała się straszna tragedia, a raczej bestialski mord, dokonany na dziesięciu niewinnych Polakach, którzy zginęli z rąk siepaczy tylko dlatego właśnie, że byli Polakami i że spełniali względem ojczyzny swój obowiązek i służyli jej wiernie i z pełnym poświęceniem.

Zastanawiałem się dalej nad tym, w jaki sposób ustalono tragiczną dziesiątkę, dlaczego dokonano selekcji właśnie tych, którzy zostali zamordowani, a nie innych. Zastanawiając się nad tym pytaniem, które swego czasu zadał mi kolega Putek, nocą zbierałem w myśli wszystkie wiadomości, które doszły do mnie – dla ustalenia podstawy tego potwornego wyroku, a raczej samosądu, względnie bestialskiego mordu. Punktem wyjścia moich rozważań była nader cenna wiadomość od współwięźnia, prof. Ludwika Stopki, który przy pewnej okazji w kancelarii więzienia przy ul. Montelupich widział spis wszystkich więźniów wedle cel, a więc także listę obejmującą więźniów znajdujących się w celi nr 45 (dawna kaplica więzienna). Zastanowił go fakt, że na naszej liście nie było przy poszczególnych nazwiskach żadnego szczególnego znaku, zaś na listach obejmujących więźniów z innych cel przy niektórych nazwiskach był znak krzyża lub kółko. Doszedłem do przekonania, że krzyżyk oznaczał przeznaczenie danej osoby na śmierć, kółko – zwolnienie. Osoby bez oznaczenia miały pozostać w więzieniu jako obojętne. Zastanowiło mnie to, że w dziesiątce rozstrzelanych, a właściwie zamordowanych, nie znajdował się żaden kolega z celi nr 45, a więc z listy, na której nie było żadnego nazwiska oznaczonego krzyżykiem. Zastanawiałem się dalej nad tym, czy pomordowani zasługiwali, w pojęciu krwiożerczego gestapo, na oznaczenie krzyżykiem, czyli na śmierć. Znając dokładnie historię aresztowania niektórych z nich oraz przyczynę uwięzienia, doszedłem do przekonania, że ofiary tego mordu były już z góry – jeszcze w Krakowie – przeznaczone przez gestapo na śmierć i że byli oni kandydatami na stracenie.

Obecnie spróbuję podać szczegóły odnośnie do większości straconych w tym dniu współwięźniów, celem wykazania, że moje rozumowanie jest prawdopodobne. Zanim do tego

przystąpię, muszę dla lepszego wyjaśnienia moich spostrzeżeń zająć się osobnikiem, który do niedawna jeszcze był postrachem, jeżeli nie całego Krakowa, to w każdym razie dzielnicy Podgórze, w której mieszkam. Jest nim osławiony Gustaw Beckmann. Urodził się 23 grudnia 1922 r. w Solingen (Niemcy), jako syn Gustawa i Marii Behr. W Krakowie przebywał od 1934 r. Zrazu mieszkał przy alei Słowackiego 43, a następnie na Podgórzu, przy ul. Widok 2, w willi będącej własnością zmarłego 20 stycznia 1942 r. w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu śp. mgr. farmacji Bronisława Piętowskiego. Beckmann był początkowo majstrem w fabryce inż. Mauricego Freudlicha, a następnie udziałowcem firm „Toledo” i „Chromstal”. Był on silnej budowy ciała, wzrostu średniego. Jego nazwisko, wygląd i środowisko, w którym się obracał, wskazywały raczej na to, że jest Żydem, względnie neofitą. Sam podawał, że jest wyznania protestanckiego. Językiem polskim nie władał. Zwolna dorabiał się majątku. Po wybuchu wojny zdołał wykupić udziały swoich współników i rozpoczął dostawy żyłek dla wojska. Większa część jego majątku pochodziła z grabieży własności polskiej i żydowskiej, tak że wnet ze skromnego majstra fabrycznego przerobił się w wielkiego – przynajmniej w jego pojęciu – fabrykanta żyłek. Mieszkanie jego było urządzone luksusowo. Mając dużo gotówki i inne możliwości, nabył od gminy miasta Krakowa dawne boiska Klubu Sportowego „Korona” na Krzemionkach i założył na nim piękne ogrody. Znajdujący się obok jednego z boisk niewykończony budynek (budowę rozpoczął dawny „Strzelec”) przerobił z wielkim przepychem, jednak w niesmacznym stylu niemieckim. Beckmannowi powodziło się w Krakowie bardzo dobrze. Miał on do dyspozycji auta, a Polacy pracowali u niego jak niewolnicy czy to w fabryce, czy poza fabryką, nieraz podczas wielkich mrozów. Przy budowie willi zajęci byli przeważnie więźniowie z więzienia Sądu Okręgowego w Krakowie. Beckmann traktował ich brutalnie, bił i kopał do krwi, przeklinał i wyzywał najordynarniejszymi słowami. Był dla nich panem życia i śmierci. Było dla mnie zagadką, na jakiej podstawie osoba prywatna mogła dysponować więźniami. Domyśliłem się jednak nie bez pewnych podstaw, że Beckmann był u władz niemieckich, a zwłaszcza u gestapo, *persona grata* i to już zapewne od 1934 r., kiedy to był jeszcze tylko skromnym majstrem fabrycznym. Wnioskując z jego późniejszej działalności przypuszczam, że w tym czasie spełniał w Krakowie funkcję szpiega. Chociaż był fanatykiem hitleryzmu, jednak obracał się wśród Żydów, dla zmylenia czujności, a ci popierali go. Skoro znalazł się w więzieniu w Krakowie, w związku ze sprawą, o której będę pisał poniżej, Żydzi złożyli za niego kaucję, celem wypuszczenia go na wolność. obrońcą jego był adwokat Żyd, a przybranie obrońcy Żyda ze strony Beckmanna było uczynione niewątpliwie w celu zamaskowania się – zakrycia oblicza perfidnego wroga,

pałającego nienawiścią do wszystkiego, co polskie, czekającego na moment, w którym będzie mógł zrzucić tę obłudną maskę. Wrzesień 1939 r. dał mu doskonałą okazję do pokazania wszystkim, kim był właściwie. Okazało się, że był dygnitarzem partyjnym, w bliskich stosunkach z gestapo. Gestapowcy byli prawie codziennymi gośćmi w jego domu, a przyjmował ich hucznie i wystawnie. On to w 1941 r. ofiarował oddziałom SS proporczyk. Z tej okazji odbyła się na Podgórzu uroczystość z udziałem orkiestry i Beckmann odebrał defiladę. Celem strzeżenia go w dzień i w nocy przydzielono trzech granatowych policjantów, którym może zawdzięczać, że nie dosięgła go karząca ręka organizacji. W lipcu 1944 r. jego żona wraz z dwojgiem dzieci wyjechała z Krakowa, on zaś, widząc, że godziny reżimu hitlerowskiego i godziny jego życia są policzone, uciekł potajemnie z Krakowa w listopadzie. O zamiarze ucieczki nie wiedział nikt, nawet jego fryzjer Stefan Hajduga (ul. Legionów 8), przed którym często wywnętrzał się, bez obawy podejrzenia brzytwą gardła. Wozy meblowe z firmy pochodzącej z Passau pozwoliły mi przypuścić, iż uciekł w tamte strony. I rzeczywiście, uciekł on – jak dowiedziałem się od współwłaściciela fabryki, w której Beckmann prowadził swoją fabrykę żyletek – do Tittling-Markt via Passau w Bawarii, która leży na pograniczu Górnej Austrii. Tam też zapewne dosięgnie go ręka sprawiedliwości, gdyż obecny adres podałem do wiadomości odpowiednich czynników.

Wyżej wspomniane aresztowanie Beckmanna było następstwem jego kłótni z niejakim Zdzisławem Janickim, która wybuchła 21 maja 1938 r. na al. Słowackiego w Krakowie, kiedy Beckmann wyraził się: „zasraną polską mową nie mówię”. Za czyn ten pociągnięty do odpowiedzialności karnej, stanął przed sądem okręgowym w Krakowie w osobie sędziego Władysława Bobilewicza, oskarżony o występki z art. 152 kk, popełniony przez to, że wyszydzał naród polski, a w szczególności w sposób obelżywy wyraził się o mowie polskiej. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Krakowie z dnia 3 września 1938 r. do liczby czynności IV 545/38, wydanym przez sędziego Władysława Bobilewicza, został zasądzony za występki z art. 152 kk na karę roku więzienia. Na końcowej głównej rozprawie występujący z ramienia prokuratury Sądu Okręgowego w Krakowie wiceprokurator Andrzej Bieńkowski zgłosił wniosek o zastosowanie tymczasowego aresztu co do zasądzonego Gustawa Beckmanna, z uwagi na możliwość jego ucieczki (jako obcokrajowca). Wniosek powyższy został przez sędziego Sądu Okręgowego dr. Władysława Bobilewicza przyjęty i Gustaw Beckmann został przy rozprawie, względnie po ogłoszeniu wyroku, osadzony w areszcie tymczasowym. Na skutek zażalenia ze strony skazanego sąd złagodził ten środek zapobiegawczy [zamieniając

go] na kaucję w kwocie 25 tys. złotych. W samej sprawie Gustaw Beckmann niezadowolony z wyroku wywiódł apelację przez adwokata, dr. Józefa Woźniakowskiego. W tym miejscu zaznaczę, że obrońcą Gustawa Beckmanna w pierwszej instancji był adwokat dr Wilhelm Immerglück, zaś kaucję za niego złożył Gorszej Kłocmann. Na rozprawie apelacyjnej 20 marca 1939 r. rozpatrywał sprawę sędzia sądu apelacyjnego Konrad Frąckiewicz, zaś oskarżenie popierał wiceprokurator sądu apelacyjnego Jerzy Marcinkowski. Sąd apelacyjny wyrokiem z tego dnia, do liczby czynności I KA 29/38, wyrok pierwszej instancji zatwierdził i równocześnie uchylił kaucję, a zastosował znowu areszt tymczasowy co do Gustawa Beckmanna, z uwagi na możliwość jego ucieczki. Od tego wyroku założył Beckmann kasację i wywód kasacyjny wniósł za pośrednictwem swego pierwszego obrońcy, adwokata dr. Wilhelma Immerglücka, który atoli wywiedzioną już kasację 31 maja 1938 r. cofnął, tak że gorące ostatnie dni sierpnia 1939 r. zastały Gustawa Beckmanna w więzieniu św. Michała przy Sądzie Okręgowym karnym w Krakowie, skąd władze bezpieczeństwa na parę dni przed wybuchem wojny wywozły go do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej, skąd zwolniły go wojska niemieckie. Gustaw Beckmann wrócił do Krakowa i rozpoczął swą krwiożerczą działalność, mszcząc się za wszystkie „krzywdy”, jakich doznał na ziemi polskiej.

Zemścił się przede wszystkim na sędzim sądu okręgowego dr. Władysławie Bobilewiczu i prokuratorze Andrzeju Bieńkowskim w ten sposób, że współdziałał przy ich aresztowaniu, dokonywał rewizji w ich mieszkaniach (rzekomo w poszukiwaniu broni), własnoręcznie ich bił i katował, odwiedzając ich nawet w więzieniu przy ul. Montelupich, dokąd zresztą bardzo często z gestapowcami zaglądał i na tym opieram przypuszczenie, że był ich agentem. Zbił i skatował na śmierć sędziego sądu apelacyjnego Konrada Fronckiewicza, w dniu 27 grudnia 1939 r., w więzieniu przy ul. Montelupich, pastwiąc się nad nim już w chwili jego aresztowania w mieszkaniu, w którym również brał udział. Uniknął straszego losu, współdziałający w wymiarze sprawiedliwości wiceprokurator sądu apelacyjnego Jerzy Marcinkowski, tylko dlatego, że zawczasu z Krakowa uciekł. Zginął z jego ręki, jak się sam Beckmann przechwalał wobec śp. Bronisława Piętowskiego, oficer policji polskiej, który się nim zaopiekował w czasie wybuchu wojny. Nie będzie także dalekie od prawdy twierdzenie, że adwokat, dr Józef Woźniakowski, przez jego donos znalazł się w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, gdzie zginął śmiercią męczeńską w 1943 r., z końcem października. On to został swego czasu zmuszony przez Beckmanna do zwrotu wypłaconego za obronę honorarium, a Beckmann – czując do niego nieuzasadniony żal – postarał się o to, aby ten człowiek, który w wypełnieniu

swego obowiązku jako obrońcy włożył wielką pracę i wiedzę, zginął tylko dla zaspokojenia jego dzikich instynktów. Na swym pierwszym obrońcy, nieobecny w Krakowie dr. Wilhelme Immerglücku, pomścił się w ten tylko sposób, że zrabował mu całe mieszkanie i ofiarował je swojej kochance. Nie uniknął tragicznego losu jego dawny gospodarz, śp. mgr Bronisław Piętowski, który musiał zginąć w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, w dniu 22 stycznia 1942 r., miał on bowiem z Gustawem Beckmannem drobne zatargi na tle mieszkaniowym. Odradzałem mu rozpoczęcie jakiegokolwiek kampanii z tym człowiekiem. Niestety śp. mgr Bronisław Piętowski nie usłuchał moich ostrzeżeń i w krótkim czasie znalazł się w obozie. Przyjmuję za rzecz pewną, że to sprawa Beckmanna, który nie znosił najmniejszego oporu lub niezadowolenia ze strony Polaków, chociaż to niezadowolenie było wynikiem krzywdy, wyrządzonej przez niego.

W tym świetle jasne jest, że śmierć sędziego sądu okręgowego dr. Władysława Bobilewicza i wiceprokuratora Andrzeja Bieńkowskiego jest aktem zemsty ze strony Gustawa Beckmanna.

Zginął w tej dziesiątce ks. Ferdynand Machay, młody ksiądz zakonny, pełen świętobliwości, dobroci i gorący patriota. Jemu zarzucali gestapowcy, że – wedle rzekomego donosu pielęgniarki Niemki – miał przy spowiedzi nakłaniać ludzi do buntu przeciwko Niemcom. Wywlekli tajemnice spowiedzi, łgali przy tym, ale cel osiągnęli. Zamordowali księdza Polaka, znienawidzonego przez nich. Zmarł on w okropnych cierpieniach, bo klęczącego i przygotowującego się na śmierć „pożarty po prostu bestie w ludzkim ciele” w osobach Maschnera, Madera i innych, które potem w czasie pijatyk przechwalały się bestialskim pastwieniem się nad osobą duchowną.

W oczach gestapo niewątpliwie ks. Ferdynand Machay zasługiwał na niejeden krzyżyk. Zniósł ten krzyż mężnie, przelewając krew za wiarę świętą i stał się godnym następcą swych poprzedników, którzy za wiarę szli spokojnie na śmierć. Wiedząc o tym, co mu zarzucali gestapowcy, nie wahałem się ani na chwilę przyjąć, że i on był przeznaczony już w Krakowie na śmierć. Zginęli w tej dziesiątce śmiercią bohaterską trzej męczennicy narodowi ze Śląska: dwaj bracia Pistulowie i Kania. Tym znowu zarzucali, że brali udział w powstaniu śląskim. Odwaga i gorąca miłość ojczyzny były wielką zbrodnią w oczach *Kulturträgerów*.

Znalazł się w tej grupie Jerzy Liban, syn mego znajomego Jana Libana, przemysłowca z Krakowa, porucznik rezerwy Wojska Polskiego. Jego aresztowano, ponieważ po wkroczeniu

Niemców do Krakowa, w mieszkaniu swych rodziców upominał się u majora niemieckiego o kosztowną futrzaną pelerynkę, którą ten zdobywca Krakowa uważał za wskazane zaofiarować swej przygodnej przyjaciółce. Dotknięty śmiałością właściciela ów major spowodował aresztowanie Jerzego Libana z powodu ciężkiej obrazy. Uczynił to tym łatwiej, że Jerzy Liban należał do rasy przeznaczanej przez Niemców na całkowite zniszczenie. Musiał więc stanąć w szeregu tych dziesięciu, z pewnością obciążony krzyżykiem przez tego zdobywcę Krakowa i budowniczego nowej Europy. Na liście znaleźli się jeszcze także Żydzi: Kränzler, Unger i Wachs, których bliżej nie znałem i nieznane mi są ich „grzechy”, ale musieli je mieć, skoro zginęli oni, a nie inni będący z nami, gdyż nie przypuszczam, by ta okoliczność, iż byli w jednej celi z Krzykaczem, była jedyną przyczyną ich zagłady.

Nie mogąc sobie wytłumaczyć, dlaczego nie oznajmiono nam procedury, jaką zastosowano przy wyznaczaniu na śmierć owych dziesięciu, dlaczego nie podano nam w ogóle do wiadomości, że taka krwawa represja została wykonana, a dalej, że zastępca komendanta Wloka wprost zaprzeczał, jakoby jakakolwiek represja w stosunku do owych dziesięciu wykonana została, twierdząc, że zostali oni wywiezieni do innego zakładu, przyjmując tezę, że śmierć wyżej wymienionych nastąpiła tylko pod pretekstem ukarania ucieczki więźnia Krzykacza. Przy jednym ogniu upiekli Niemcy dwie pieczenie. Raz – wykonali jeszcze w Krakowie powzięte z góry postanowienie, dwa – dali nam przestrozę i odebrali ochotę do ucieczki. Gdyby celem tego mordu było tylko ukaranie nas za ucieczkę Krzykacza, niewątpliwie byłaby to komenda ogłosiła, nie robiłaby z tego tajemnicy i zawiadomiłaby rodziny, aby zwłoki pochowały. Nie uczyniono tego dlatego, bo się wstydzono bestialskiego mordu, jeśli w ogóle o wstydzie u tych ludzi można było mówić.

Dalsze nasze życie płynęło całkiem monotennie. Praca przygłuszała okropne wrażenia. Zwolna zaczęliśmy się uspokajać, coraz rzadziej myśleć i mówić o ofiarach tego mordu. Aż do czasu, kiedy zaszło coś nowego, co znowu targnęło naszymi duszami, co nas do głębi boleśnie zraniło, co kazało nam już całkowicie zwątpić w to, czy nasi „opiekunowie” są w ogóle ludźmi.

Mniej więcej w połowie czerwca 1940 r. spędzono nas do wspomnianego kościoła więziennego, bardzo przypominającego nam kościół o.o. Paulinów w Krakowie i wydano polecenie demolowania całego wnętrza kościoła. Może trzy dni wcześniej kazano, zwłaszcza inżynierom przybyłym z Mościc, wynosić płyty z posadzki kościelnej, polecono nam wszystkim bez wyjątku, nawet księżom, zdzierać ze ścian świątyni i usuwać krzyże,

wyrzucać konfesjonały na śmietnisko, przy czym rej wodzili osławieni Maschner i Mader, wykrzykując plugawe słowa pod adresem Chrystusa, wołając: „Cóż wy, nie potraficie ściągnąć skurwysyna?”. Wołali to w momencie, kiedy więźniowie nie mogli usunąć silnie przybitego nad ołtarzem głównym krzyża. Konfesjonały nazywali psimi budami. Zrobili także kukłę ze słomy, ubrali w ornaty i spalili na śmieciach. Wszystko to uczynili wśród szyderczego śmiechu *Selbstschutzów* wyzutych z jakichkolwiek uczuć. Po zdemolowaniu wnętrza przystąpiono do rozbiórki zupełnie dobrze zachowanego, pięknego kościoła. Przedtem już zdarto blachę z dachu. Sądziłem, że czynią to w związku ze zbiórką materiałów żelaznych. W dalszym ciągu pokazało się, że ten przybytek boży drażnił partyjniaków i dlatego skazali go na zagładę. Zezwierzczenie tej hołoty doszło do szczytu, kiedy weszli oni do podziemia kościoła, w którym złożone były prochy fundatorów, książąt Lubomirskich. Zgraja *Selbstschutzów* z Maschnerem, Maderą, Rzepką, Sojką i innymi grasowała w tych podziemiach. Otwarli oni dziewięć trumien osób dorosłych i dwie trumny dzieci i ograbili je z kosztowności. O tym wiedział – bo na to patrzył – milczek, komendant Asmus. Na podstawie jego zachowania się przy tym śmiem twierdzić, że był to w jego życiu najpiękniejszy dzień, kiedy dożył chwili zburzenia i splugawienia pięknego kościoła, sądząc zapewne, że w ten sposób buduje wielkie Niemcy. Był wtedy pewny siebie i z pogardą patrzył na nas, słabych i bezbronnych. Mniej więcej trzy dni dręczono nas moralnie przy tej bolesnej pracy. Zdarliśmy szaty wewnętrzne tej pięknej świątyni, gruntownie i doszczętnie. Zbiry wystawili sobie świadectwo swej zgnilizny moralnej, a pyszni z powodu zwycięstw w 1940 r., zapomnieli o Bogu. Słyszeliśmy później, że kamieni z tego kościoła – pięknych ciosów – użyto do budowy budynku, względnie pałacu dla gubernatora Wächtera. Nie przeczuwał widocznie ten dygnitarz hitlerowski, że krwią zbrzygane i sprofanowane kamienie nie zapewnią mu spokoju domowego – jemu, wówczas panu życia i śmierci Polaków. To była najcięższa zbrodnia, której dokonała ta dzika horda na wzgórzu wiśnickim.

W jakiś czas po zburzeniu kościoła zaczęły nas dochodzić słuchy, że zostaniemy wywiezieni, a zakład wróci w całości do swego dawnego przeznaczenia, to znaczy będzie znów ciężkim więzieniem karnym. Mówiono, że planuje się wywiezienie nas do Rzeszy. Ponieważ wszystkiego już spodziewaliśmy się, wiadomość ta nas przerażała, zwłaszcza, że owe tygodnie po ucieczce Krzykacza były dla nas nadzwyczaj przykre, upokarzające oraz ciężkie. Z końcem maja i przez czerwiec 1940 r. *Selbstschutze*, a w szczególności bracia Frölichowie i Helmuth Bauer – pikolak z kawiarni J. Bisanza w Krakowie, podjudzani przez Sojkę, Rzepkę, Madera i Maschnera

szykanowali nas na każdym kroku. Pod rozmaitymi pozorami urządzali oni rewizje w naszych celach – zazwyczaj podczas naszej nieobecności – grabiąc przy tej okazji, co się dało i co któremu z nich się podobało. Przeszukiwali również naszą korespondencję, węsząc zapewne za jakimś spiskiem. Niewinne notatki dawały podstawę do nielitościwego bicia i torturowania. Nie wolno było nawet mieć wizerunku Boga na piersi lub jakiegoś medalika, gdyż taka dzika bestia jak Mader mogła gwałtem zerwać te świętości, raniąc przy tym szyję. Przy jednej z tych rewizji znalazł Jan Rzepka u księży paczkę komunikantów. Zdziczałe to zwierzę zjadło większą część, resztę rzuciło na ziemię, a depcząc te komunikanty, wykrzykiwał: „To jest wasz Bóg!”. Przy innej sposobności mówił Rzepka: „Drugi raz nie chciałbym być Polakiem” – wyrazów tych użył, gdy przechwalał się, że brał udział w powstaniu śląskim. Helmuth Bauer upatrzył sobie jako ofiarę swych niskich instynktów i brutalności znanego i cenionego literata, prof. Jana Pietrzyckiego. Kilkakrotnie wywlekał go do osobnej celi i bił do nieprzytomności, nie zważając na jego sędziwy wiek i wyczerpanie. Powodem tej zemsty miało być to, że prof. Pietrzycki – jak mówił Bauer – był grymaśnym gościem w kawiarni Bisanza – jak się później okazało, istnej wylęgarni szpiegów – volksdeutschów i reichsdeutschów, z samym Janem Bisanzem na czele. Jan Pietrzycki z istic anielskim spokojem i godnością prawdziwego Polaka znosił te katusze. To zwierzę w ludzkim ciele doprowadziło do tego, że prof. Pietrzycki był bliski zgonu, a strażnik Jan Rzepka, który go również nielitościwie bił kluczami gdzie popadło, korzystając z jego prawie beznadziejnego stanu, skradł mu złoty, bardzo kosztowny zegarek, którego Pietrzycki nie zdeponował w kancelarii więziennej. Twierdzę że skradł, gdyż prof. Pietrzycki zwracał się do kancelarii o zwrot zegarka, lecz go nie otrzymał. Po zwolnieniu z obozu pracy w Nowym Wiśniczu usiłował odebrać ten zegarek od Jana Rzepki i jeździł nawet w tej sprawie do niego do Bochni, ale bezskutecznie. Pobicie – tak ciężkie – prof. Pietrzyckiego nie miało innego celu, jak tylko ograbienie go z tego zegarka, gdyż Rzepka o zegarku i jego wysokiej wartości był dobrze poinformowany. Miał on nieczyste sumienie i w czasie choroby Jana Pietrzyckiego pozostającej w związku z jego skatowaniem ciągle pytał się asystenta i współwięźnia Theuerlego, czy profesor będzie żył. Obawiał się widocznie, że będzie musiał – po złożeniu doniesienia przez prof. Pietrzyckiego – zegarek zwrócić. On nie mógł jednak takiego doniesienia złożyć – równałoby się to wyrokowi śmierci dla niego i kto wie, czy także nie dla innych, bowiem nikt nie odważyłby się posądzić tak „szlachetnych” ludzi, jak Sojka, Rzepka, Mader, Maschner i Bauer o rabunek.

Oślawiony Rzepka, Bauer i Frölichowie starali się upokorzyć nas do najwyższego stopnia. Wymyślali sposoby, które miały poniżyć zupełnie godność ludzką i osobistą w nas. Jak

się później przekonałem, nie były to proste wymysły tych zwyrodnialców. Byli oni bardzo pojętnymi uczniami właściwej szkoły, a raczej celowej tresury. Dla przykładu podaję: pewnego dnia ustawieni w dwuszeręg – twarzami do siebie – musieliśmy na rozkaz bić się po twarzach. Można sobie wyobrazić nasze wzburzenie i wstręt do oprawców, którzy w ten sposób wymagali od nas największego upokorzenia, wyzbycia się godności ludzkiej. Ponieważ strażnik Rzepka i inni, zwłaszcza Helmuth Bauer, bili ciężkimi kluczami po plecach i twarzy tych, którzy słabo policzkowali współwięźniów, przeto niejeden z nas prosił swego „przeciwnika”, aby go silniej uderzał, chcąc w ten sposób uniknąć katowania z rąk zbirów. Kiedy dyr. Stanisław Szeremeta uderzył łagodnie swego kolegę więziennego, wtedy doskoczył jeden ze zbirów i uderzył go tak silnie dwa razy w twarz, że ten przewrócił się i silnie zakrwawił. Przy tej okazji znęcano się specjalnie nad pułkownikiem dyplomowanym Pietrasem. Można sobie wyobrazić, jaki ból przeszył serce polskiego oficera, który znosił takie upokorzenie z rąk osobnika, który przestał być człowiekiem, a znał tylko pogardę i nienawiść do każdego Polaka. Również bardzo dotkliwie i ciężko został pobity przez tych zbirów prof. Ludwik Stopka i adwokat dr Tadeusz Turek, któremu rozbito głowę kluczami. Zgrzytaliśmy wówczas zębami, zaciskaliśmy pięści, ale byliśmy zupełnie bezbronni. Wierzyliśmy w sprawiedliwość Bożą. Wierzyliśmy głęboko, że to upokorzenie, którego musimy doznawać, będzie ukarane i modlitwa nasza zostanie wysłuchana. Istotnie, w ręce sprawiedliwości wpadł – jak mi wiadomo – jeden z tych opryszków, a mianowicie Maschner. Czeka on na karę, na którą dobrze sobie zasłużył w obozie pracy w Nowym Wiśniczu. Przypuszczam, że zostanie skazany na karę śmierci, będzie musiał oddać swe marne życie choćby tylko za sponiewieraną godność ludzką i osobistą, a nadto za inne zbrodnie. On i jemu podobni upojeni zwycięstwami i rabunkami swego przybranego narodu, podnieceni alkoholem, pędzeni niskimi instynktami, sądzili, że świat do nich należy i że można Polaków poniżyć i zdeptać. Przeżyje więc jeszcze Maschner chwile, w których będzie mógł rozmyślać, czy godziło się jemu, plutonowemu Wojska Polskiego, zdradzać sztandar polski, łamiąc złożoną Bogu i ojczyźnie przysięgę i czy opłaciło mu się przestać być człowiekiem. Uczynił to Maschner za bardzo niską cenę, za trochę stawy i alkoholu oraz by móc pysznić się, że należy do „narodu panów”, może gnębić słabych i upośledzonych.

Profesor Pietrzycki zmarł w Krakowie na skutek przeżyć w więzieniu w Nowym Wiśniczu w roku 1944. Nie mogłem wówczas opanować się i nie dać folgi wzburzeniu na wspomnienie tych kreatur, które jak żmije pełzały po polskiej ziemi.

Bodaj w kilku słowach muszę wspomnieć o życiu umysłowym w tamtych warunkach. Kilka książek z biblioteki więziennej i kilka jeszcze, dawniej przemyconych, wędrowało z celi do celi, tak że musieliśmy się ograniczyć jedynie do ogólnej wymiany myśli w formie pogadanek, które mogliśmy przeprowadzać tylko w niedziele, a więc w czasie wolnym od zajęć i ewentualnie wieczorami, o ile znużenie całodzienną pracą nie zmusiło nas do dobrze zasłużonego spoczynku. Jak już wyżej wspominałem, prof. Pietrzycki opowiadał nam o swych pięknych podróżach po Włoszech, przedstawiał nam rozwój literatury w ostatnich czasach. Ja przedstawiałem przeżycia na tle rozmaitych procesów karnych, które wzbudzały oczywistą ciekawość. Roztrząsałem istotę i cel naszego zatrzymania z punktu widzenia prawa politycznego i karnego. Dzieliłem się wiadomościami o istniejących obozach, starałem się wykazać, że nasze zatrzymanie jest tylko chwilowe, zmierza do zabezpieczenia spokoju wewnątrz gubernatorstwa i że niewątpliwie w krótkim czasie zostaniemy zwolnieni, tym bardziej, że nie prowadzą przeciwko nam żadnych dochodzeń. Poza tym w wolnych chwilach pozowaliśmy kolegom – Żurawskiemu, Polichtowi i Korpaliowi – którzy uwieczniali nasze oblicza w mundurach aresztanckich i przy tej sposobności zaznajamiali nas z techniką ich sztuki, z zasadami poszczególnych szkół malarskich. Czcigodni kapłani przy każdej okazji, a zwłaszcza w chwilach najcięższych katuszy, podtrzymywali nas na duchu, pocieszali i dodawali nam otuchy przez odpowiednie lekcje i wykłady teologiczne, które stały nieraz na bardzo wysokim poziomie. Im to głównie zawdzięczamy, że nie załamaliśmy się, chociaż ten czy ów, żyjąc w tak okropnych warunkach, zaczął się wahać. W ich otoczeniu i po rozmowie z nimi wzmacniał się jednak na duchu i nie tracił wiary w sprawiedliwość Bożą, co zwłaszcza w początkowych miesiącach pobytu w więzieniu było rzeczą najważniejszą.

Niektórzy koledzy zostali z więzienia zwolnieni na skutek starań swoich rodzin. Jednym z pierwszych był inż. Ernest Cieślewski, potem dyr. Zygmunt Lorenz i Zygmunt Falk. 6 kwietnia opuścił obóz dr. Wacław Brodkiewicz, po nim – w maju – został wypuszczony na wolność ksiądz Józef Majgier, w czerwcu prof. Franciszek Bielak, a 13 czerwca – rektor inż. Jan Krauze. Zwolnienia tych kolegów umacniały nas w wierze, że starania naszych rodzin odniosą także skutek i że sukcesywnie uzyskamy wolność, zwłaszcza że nie badano nas i nie podnoszono żadnych zarzutów.

Z drugiej atoli strony coraz głośniejszą zaczęto mówić o wywiezieniu nas. 18 czerwca 1940 r., kiedy pracowałem razem z kolegą, prof. Józefem Hajdukiewiczem w ogrodzie, przechodził

obok nas zastępca komendanta obozu Wloka, z zawodu szofer mechanik, z którym mało kto się stykał, gdyż był on przeważnie zajęty wyjazdami poza obóz. Wloka, przechodząc, zwrócił się do mnie z zapytaniem, jak się nazywam i jaki jest mój zawód. Po otrzymaniu odpowiedzi Wloka zwrócił się z tym samym pytaniem do prof. Hajdukiewicza i gdy ten podał, że jest profesorem gimnazjalnym, Wloka wyjął z kieszeni arkusz i zaglądając do spisu rzekł: „Ist gut” („Dobrze jest”). Ucieszyliśmy się wówczas, albowiem zaczęliśmy kombinować, że może zostaniemy zwolnieni. Inni koledzy zaczęli przemyśliwać, czy wszyscy bez wyjątku, czy tylko niektórzy, czy może tylko profesorowie, aresztowani przy pracy w szkołach. Następnego dnia wieczorem wywołano wszystkich profesorów powyżej 40 lat oraz kilku innych kolegów, kazano im zabrać swoje rzeczy i umieszczono ich na tę noc w sali innego budynku zakładowego. Reszta pozostała w swych celach. Powyższa dyslokacja dała znowu pole do rozmaitych dociekań. Nie mogliśmy jednak nic pewnego powiedzieć do chwili, kiedy nadeszła wiadomość, że tego wieczoru komendant obozu Asmus wygłosił do zebranych okolicznościowe przemówienie z tej okazji, że mają być zwolnieni z obozu następnego dnia. Dziś przypominam sobie zachowanie zwolnionych. Z jednej strony ogarnęła ich radość, a z drugiej żal z powodu rozstania z kolegami, z którymi łączyło ich tyle cierpienia i gorzkich chwil. W rzędzie tych szczęśliwców obok starszych profesorów znalazło się także kilku kolegów, którzy swego czasu, mniej więcej w połowie marca 1940, byli badani przez lekarza obozowego dra Himmelbacha i zostali uznani za chorych. Byli to: rejent doktor Adam Brzostyński, adwokat z Brzozowej dr Adam Dobrowolski, emerytowany profesor gimnazjalny dr Zygmunt Karliński, Józef Zych i ks. Wiktor Macko. Ogółem do zwolnienia przeznaczono 27 osób. Tutaj muszę wspomnieć, że przez proste przeoczenie nie wywołano prof. Eugeniusza Drozdzińskiego. Skoro zauważył to jego kolega, prof. Ludwik Stopka, zwrócił się do komendanta obozu Asmusa z przedstawieniem, że kolega Drozdziński został w tych samych warunkach aresztowany jak i oni i dlatego wydaje mu się dziwne, że nie przeznaczono go do zwolnienia. Przy przeglądaniu listy zwolnionych okazało się, że na arkuszu na pierwszej stronie uwidocznione było 26 nazwisk, a na odwrotnej 27, Eugeniusza Drozdzińskiego. Z pośpiechu nazwiska tego nie zauważono i niewątpliwie, gdyby nie interwencja kolegi Ludwika Stopki, prof. Drozdziński pozostałby nadal w obozie i podzieliłby nasz dalszy los w Oświęcimiu. Wśród zwolnionych znalazł się także były wojewoda krakowski płk Michał Gnoiński, którego zwolnienie – jak zaznaczył w swym przemówieniu komendant obozu Asmus – nastąpiło dlatego, że był *brav* (grzeczny). Tą pochwałą był pułkownik Gnoiński zaskoczony, bo był on tak „grzeczny”, jak i my wszyscy. Widocznie spodobał się

komendantowi, kiedy pełnił służbę telefonisty w jego kancelarii. Później jednak dowiedziałem się, że wpadł on w ręce gestapo po raz drugi w Warszawie i podobno zginął.

Wówczas zwolniono 27, a na wywóz przeznaczono 323 więźniów i tym samym przysły nadzieje, że my, to jest stu pierwszych więźniów z obozu w Nowym Wiśniczu, zostaniemy zwolnieni. Na drugi dzień, 24 czerwca 1940 r., zbudzono nas wczesnym rano i polecono pakować nasze rzeczy, które poprzedniego dnia po południu wydano nam z magazynu więziennego. Zdeponowane wartościowe przedmioty miały być osobno przesłane do naszego nowego miejsca przeznaczenia. Rano przyszedł także dr Himmelbach i wezwał do badania wszystkich tych, którzy nie czują się dosyć silni, by przejść blisko dziewięciokilometrowy odcinek do stacji w Bochni. Zgłosiło się zaledwie kilku, wielu nie chciało ryzykować ewentualnej przykrości, która mogłaby ich spotkać w razie nieuznania ich za niezdolnych do marszu. Marsz ten o tyle był lżejszy, że nasze rzeczy załadowano na kilka furmanek zwerbowanych z okolicznych wiosek.

Mniej więcej koło dziesiątej przed południem wyprowadzono nas z więzienia pod silną strażą i rozpoczęliśmy znowu ciernisty marsz do Bochni. Dotąd nikt ani słówkiem nie zdradził naszego dalszego przeznaczenia. Koledzy zwolnieni z obozu pojechali wprawdzie samochodami, wraz z kolegami niezdolnymi do marszu (między którymi znajdował się kolega Bolesław Rozmarynowicz). Reszta musiała w szybkim tempie zdążyć do stacji w Bochni. Już z drogi koło cmentarza, na ostatnim wzniesieniu w Nowym Wiśniczu, ostatni raz rzuciłem okiem na te mury więzienne, które były niemym świadkiem naszego upokorzenia i wielkiej udręki. Pożegnałem ten sprofanowany i zniszczony kościół, w końcu pożegnałem ostatni raz kolegów zamordowanych i śpiących snem nieprzespanym w lesie obok zakładu więziennego. Gnani i pędzeni w upalny dzień czerwcowy przez policjantów, a zwłaszcza jednego jadącego z tyłu na motocyklu, który nas poganiał biczyskiem, z trudem i bez odpoczynku dotarliśmy do stacji kolejowej w Bochni. Po drodze upadał ze zmęczenia i braku sił sędziwy ks. prof. dr Marian Morawski, którego szturchańcami i kopaniem eskortujący zachęcali do powstania z ziemi.

Na stacji oczekiwała nas już grupa przewiezionych samochodami kolegów. Za chwilę załadowano nas do wagonów, tym razem osobowych, nie pozwalając atoli otwierać okien. Mniej więcej koło godziny pierwszej w południe zbliżyliśmy się do Krakowa. Przez jakiś czas zatrzymał się pociąg przy trzecim moście podgórskim. Biegłem wówczas myślą do swoich, byłem przecież na rodzinnej ziemi krakowskiej, niestety jako niewolnik. Drugi postój przed

stacją był przy ul. Lubicz. Na stacji wysiedli koledzy mający być zwolnieni, a przewiezieni w osobnym wagonie. Ustawiono ich w dwuszeręg. Milcząco i ze szczerym żalem żegnali nas. Współczucie dało się wyczytać w ich smutnych oczach i poważnych twarzach. Żegnaliśmy ich skinieniem rąk i głowy, przez zamknięte okna wagonu żegnaliśmy ich w tej myśli, że oni będą mścicielami naszych udręk i cierpień i że oni będą oskarżycielami owych zbrodniarzy, którzy nas chcieli zdusić i zdławić w ciągu jednego półrocza.

Po pewnym czasie pociąg ruszył znowu, a ja wraz z moimi towarzyszami Stanisławem Robakiem i Józefem Przebindą w skupieniu spoglądaliśmy na ukochane mury rodzinnego Krakowa, na ludzi chodzących wolno i swobodnie. Na widok znikającego nam z oczu kopca Kościuszki, łzy cisnęły nam się do oczu. Cierpieć za wolność jest słodko, a nawet obowiązkiem, ale trzeba mieć siły, a tych zaczynało nam widocznie z każdym dniem brakować. Z wolna zbliżaliśmy się do celu naszej podróży, od kolejarzy bowiem dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Oświęcimia. Jakaś wiara wzmacniająca ogarnęła nasze umysły. Oświęcim to przecież ziemia polska, nie może nam być tam źle, przypuszczaliśmy że wyjedziemy stamtąd żywi i cali. Smutny siedział tylko kolega Józef Przebinda, gdyż czuł, że już swojej rodziny nigdy nie zobaczy.

Po nużącej podróży przybyliśmy na stację Oświęcim – osławione później Auschwitz. Przejeżdżając koło drutów kolczastych, zauważyliśmy za drutami ludzi ubranych w pasiaste, biało-niebieskie drelichowe mundury, wykonujących mechanicznie roboty, które raczej wskazywały na zupełną bezmyślność ludzi-manekinów, ludzi pozbawionych woli i rozumu.

Z okien wagonu widzieliśmy spalone małe domki, bez szyb, budynki ogrodzone drutem kolczastym, obok którego na zewnątrz stały wieże strażników, z karabinami maszynowymi z obsługą SS-manów. Za drutami widziałem w pasiastych mundurach niektórych więźniów z okrągłymi myckami marynarskimi na głowach. Byli to, jak się później dowiedziałem, więźniowie niemieccy, przeważnie kryminaliści. 10 czerwca 1940 r. przyszedł do obozu transport ok. 700 ludzi, przeważnie z więzień krakowskich i tarnowskich. Tutaj już wspomnę, że z tym właśnie transportem przybyli m.in. redaktor Stanisław Mróz, litograf Wergili Pruszyński, sędzia dr Marian Andrysiak, adwokat krakowski dr Adam Dobrowolski. My, więźniowie z Wiśnicza, gdzie tworzyliśmy pierwszy obóz w dawnym Generalnym Gubernatorstwie, po przejściu przeszkolenia w zakładzie karnym w Nowym Wiśniczu, mieliśmy w Oświęcimiu rozbudować ten nowo założony i na wielką skalę pomyślany obóz

koncentracyjny i zużytkować nasze przeszkolenie w stosunku do wszystkich następnych i niezliczonych transportów, które miały być w przyszłości skierowane do Oświęcimia. My mieliśmy rozbudować ten obóz na wielki obóz zniszczenia. Przeszkoleni, jakby w kadrze, przy rozmaitych warsztatach pracy w więzieniu w Nowym Wiśniczu, musieliśmy nasze praktyczne przeszkolenie przenosić na te tysiące osób, które miały być tutaj z czasem spędzone. Byliśmy mimo woli pionierami niszczycielskiego ruchu hitlerowskiego. Pierwszy szereg niezliczonych tysięcy więźniów politycznych rozpoczął swój żywot w okropnych warunkach, albowiem był to dopiero początek istnienia obozu w Oświęcimiu. Układano dopiero jego plany, zbierano potrzebne materiały, spędzano ze wszystkich stron Polski niewolników, którzy mieli potworne dzieło zniszczenia wybudować własnymi rękami i w największym poniżeniu.

Na dworcu kazano nam szybko wysiadać z wagonów i pod silną eskortą zaprowadzono nas do dużego budynku, dawniej należącego do Monopolu Tytoniowego, gdzie wpędzono nas do piwnic. Tam nastąpiło przyjęcie nas przez osławionego później Leona Wierzchowskiego (Wietschorek), naszego późniejszego *Blockführera*. Po złożeniu naszych rzeczy spędzono nas do dwóch wielkich sal położonych na piętrze, w których znajdowała się tylko słoma na ziemi i kazano nam spokojnie i cicho leżeć. Wspomnieć muszę, że w tym dniu od rana nie dano nam zgoła nic do jedzenia ani do picia. Ponieważ pędzono nas szybkim krokiem z Wiśnicza do Bochni, byłem zupełnie wyczerpany. Nic dziwnego, że w tej piwnicy w dusznej atmosferze zemdlałem z wyczerpania i osłabienia. Cucił mnie nieodłączny Józef Przebinda, który wystarał się dla mnie od jednego z księży o kilka kropel wina.

Pierwszą noc leżeliśmy obok siebie, ja, Robak i Przebinda. Zupełnie bez sił, wyczerpani, zasnęliśmy szybko, aby wnet zbudzić się i rozmyślać nad naszym dalszym marnym losem. Rano po pobudce rozpoczęto z nami musztrę, podczas której znowu zemdlałem. Po niej nastąpiło dopełnienie dalszych formalności, jak zawsze w związku z przybyciem nowych ofiar. Formalności te, poza ostrzyżeniem nas i kąpielą, polegały na spisaniu naszych personaliów i zarejestrowaniu nas. Ja otrzymałem numer 947. Na drugi dzień stawaliśmy przed tak zwaną komisją lekarską, przed którą każdy mógł podać swe cierpienia i dolegliwości. Badanie zakrawało na kpiny, bo każdego uznawano za zdrowego, a tylko bardzo starzy i dotknięci widocznymi dolegliwościami oraz widoczni inwalidzi mogli liczyć, że dostaną się na oddział inwalidów. Reszta została rozdzielona od razu po poszczególnych blokach i wtedy rozdzieliły się nasze wspólne drogi z Józefem Przebindą. On jako młody, zaledwie 26 lat liczący, silny

i rosły przeznaczony został do robót ciężkich. Ja ze Stanisławem Robakiem, prof. Antonim Rejninem i Adamem Różyckim pozostałem w oddziale dla inwalidów, nad którym główną pieczę sprawował wspomniany już przeze mnie Leon Wietschorek. Był to typ spod ciemnej gwiazdy, kryminalista, który w tym czasie przebywał w obozach koncentracyjnych już szósty rok. Był on sadystą, bowiem znajdował radość w naszych udrękach. Jako mężczyzna o atletycznej budowie ciała uprawiał z nami istne harce. Przede wszystkim musztrę wojskową i gimnastykę szwedzką, od szóstej rano do szóstej wieczorem, z krótką dwugodzinną przerwą na obiad. Za najdrobniejsze przewinienia lub zupełnie bez powodu bił więźniów gdzie i czym popadło oraz kopał, na skutek czego wielu zostało kalekami.

Nadzór nad całym obozem spoczywał w ręku SS. Obóz, jak zaznaczyłem, był dopiero w zarodku. Położony był nad Sołą, niedaleko Wisły, w miejscu bardzo niezdrowym, wilgotnym, a pod względem klimatycznym nieznośnym z powodu ciągłych deszczów. W tym miejscu były dawniej koszary artylerii i magazyny Monopolu Tytoniowego. Budynki te musiano dopiero przerabiać na cele obozu koncentracyjnego, a późniejszego obozu zniszczenia. Miano to zrobić i zrobiono rękami tych setek tysięcy niewolników i męczenników, którzy się tu znaleźli. Nie oglądając się na siły i środki, zaprzęgnięto wszystkich z miejsca do pracy i to bardzo ciężkiej, do budowy ogromnego obozu koncentracyjnego, który rósł jak na drożdżach, musiał się rozrastać, aby pomieścić tysiące ofiar, a później zniszczyć miliony ludzi.

A więc z początku pracowaliśmy przy rozbiórce niepotrzebnych budynków, nadbudówek istniejących, plantowaniu gruntu przeznaczonego na plac apelowy, przy budowie szop kuchennych, a następnie także przy budowie pierwszego krematorium wewnątrz obozu. Ta budowa była trzymana jednak w zupełnej tajemnicy, tak że kiedy raz zapytałem strażnika, czy to będzie może piekarnia, odpowiedział: „Du möchst nur fressen” („Ty byś tylko żarł”). Budując rusztowania na wysokości pierwszego piętra, z desek często nieodpowiednich, często zbutwiałych, bez gwoździ i haków, narażeni byliśmy codziennie na bolesne upadki i potłuczenia, a nawet kalectwo. Każda czynność przy robotach musiała być wykonana biegiem, nawet zwózka cegieł, przy której byłem jakiś czas zajęty, tak że znużenie było okropne. Do taczek musieliśmy ładować po 25 cegieł i biada temu, kto się odważył załadować mniej, bo gdy spotkał go strażnik i skontrolował, że liczba załadowanych cegieł jest mniejsza, bił go niemiłosiernie. Za najdrobniejsze uchybienia, a nawet bez powodu, pierwszy lepszy SS-man bił i kopał niewinną ofiarę.

Dreńczono nas nawet śpiewem. Podawano banalny tekst piosenki i przez noc musieliśmy uczyć się jej, w obawie przed pobiciem gdyby indywidualny egzamin wypadł z wynikiem ujemnym. Można sobie wyobrazić, jaką męką było dla człowieka, nieznającego języka niemieckiego, wyuczyć się tych głupawych piosenek. Niejednokrotnie z tego powodu bracia albertyni, a mianowicie brat Wincenty (Józef Wolniarski) i brat Serafin (Józef Zwoliński), którym teksty piosenek (*O du mein Bubikopf* lub *Im Lager Auschwitz war ich zwar so manchen Monat so manches Jahr*) nie chciały wejść do głowy, byli katowani, bici i przezywani: „Ihr verfluchte Pfaffen” – „Wy przeklęte klechy”. Dopiero moje wytłumaczenie, że oni są członkami zakonu żebraczego, zajmującego się największą biedotą, zmiętkowało naszego oprawcę. Niestety, jak się dowiedziałem, obaj bracia zginęli później śmiercią męczeńską w Dachau.

Rano wstawaliśmy już o 3.30. Następnie musieliśmy biec półnago do studni i szybko myć się, a ponieważ była tylko jedna studnia i przy niej znaczny tłok, niektórzy w poszczególnych dniach myć się nie chcieli. Wieczorek po myciu kontrolował ręczniki, a znalazłszy u któregoś z więźniów suchy, posiadacza okładał kijem po głowie i po całym ciele. Poganiał on również do studni, częstując każdego silnym uderzeniem, gdzie trafił.

Odżywienie było marne. Czarna woda, zwana kawą, z rana, w południe zupa kartoflana lub ziemniaki z kapustą czy brukwią, wieczorem 300 g chleba i trochę marmolady lub kawałeczek sera, względnie jeszcze mniejszy kawałeczek kiełbasy. Dożywiać nie mogliśmy się, bo był zakaz przysyłania paczek żywnościowych. Rzecz prosta i zrozumiała, że przy ciężkiej pracy, przez blisko dziesięć godzin dziennie, zaczęliśmy okropnie chudnąć i opadać z sił. Okropnie odczuwało się solidarne kary za najdrobniejsze przewinienia, np. zapalenie papierosa podczas zajęć lub spoczynek w czasie pracy cały blok lub izba ponosiła karę, w istocie bardzo okrutną. Nie zapomnę nigdy nocy z 6 na 7 lipca 1940 r., z soboty na niedzielę. W tym dniu zbiegł z obozu jakiś więzień. Jako karę postanowiono, że wszyscy więźniowie będą stać na baczność od dziewiątej wieczór do drugiego dnia do popołudnia. Ramiona musieliśmy mieć założone z tyłu na karku. W nocy oświetlano nas reflektorami i SS-mani skrupulatnie pilnowali, aby nikt z nas nie ważył się opuścić rąk, a kiedy ze znużenia i zmęczenia u niektórych następowało to, bito ich i katowano bez litości. Rezultat tego był ten, że z bloku naszego (10.) liczącego 256 więźniów, zaledwie około 60 wytrzymało te katusze. Ludzie padali z omdlenia jak muchy, a wtedy polewano ich wodą i bito. Niektórzy doznali jakiegoś dziwnego porażenia rąk, a zwłaszcza kolega więzienny dr Curuś Bachleđa. Innym razem, jeszcze kiedy byłem w głównym budynku, tzw. *Lager II*, musieliśmy biegać na

placu znajdującym się przed budynkiem mniej więcej od trzeciej po południu do siódmej wieczorem w dzień bardzo duszny. Sam z natężeniem wszelkich sił zdołałem biegać przez mniej więcej półtorej godziny, z wyczerpania zemdlałem i zanesiono mnie na drugie piętro tego budynku, gdzie się znajdowała właściwa stacja ratunkowa. Tam przeważnie bito i polewano zimną wodą. Kiedy mnie wniesiono na salę, jeden z SS-manów odezwał się: „Ach, der alte” – i to zdaje się uchroniło mnie od pobicia. Często kazano nam rozbierać się do bielizny i tarzać się po ziemi, przy czym kopaniem zachęcali nas SS-mani do szybszego wykonania rozkazu. Przy tej okazji jeden z SS-manów kopnął mnie w bok tak silnie, że przez kilka dni odczuwałem dotkliwy ból i nawet nie przypuszczałem, że wskutek tego doznałem złamania żebra, co zostało stwierdzone później.

Rozwścieczeni SS-mani gnali nas zawsze, na każdym kroku i bez żadnego powodu, tylko dla prostej ich przyjemności. Uczyli nas musztry i komend niemieckich bez przerwy po kilka godzin, aż do zupełnego wyczerpania i zniszczenia. Rozweselali się oni także na swój dziki sposób. Otóż spędzali wszystkich Żydów w koło i kazali im śpiewać niemiecką piosenkę, drwiącą z Żydów (*O du mein Jerusalem*), a chórem tym kazali dyrygować katolickiemu księdzu, o ile się nie mylę, z Niska lub Leżajska. Wyła ta dzicz za śmiechu, a to im wcale nie przeszkadzało, że w przerwach bili i kopali Bogu ducha winnych, przymusowych słuchaczy.

Oznaki wyszywane na bluzach i spodniach wskazywały, do jakiej kategorii więźniów kto należał, np. czerwony trójkąt oznaczał więźnia politycznego. Osobną oznakę mieli księża, osobną Żydzi. Wobec tego SS-mani z łatwością wybierali sobie ofiary. Największego upokorzenia doznawali księża. Nad nimi pastwili się SS-mani w sposób iście bestialski. Ponadto używano ich do najcięższych i najprzykrzejszych robót, np. do ciągnięcia ciężkiego walca, służącego do ugniatania ziemi na przyszłym placu apelowym. Przechodzili oni udręki prawdziwych męczenników, byli przedmiotem pośmiewiska tej zgrai zbrodniarzy, która wyszła z jednej wielkiej szkoły, w której wydarto jej wszelkie zasady moralne i etyczne. Nie zapomnę sceny, kiedy jeden ze zbirów SS-mańskich zbliżył się do sędziwego, już ciężko schorowanego księdza profesora dr Mariana Morawskiego i zapytał go: „Hast du wo den Gott geschen” – „Czy widziałeś gdzie Boga?”. Ten poważny i wielce uduchowiony uczoney spuścił oczy, a następnie, patrząc prosto w oczy zbira, nie odpowiedział ani słowa. Na to zwyrodnialec uderzył go w twarz i powalił na ziemię. Drugiego zaś księdza zapytał: „Hast du eine Geliebte?” – „Czy masz kochankę?”. On również nie dał odpowiedzi, za co został spoliczkowany. Innym razem widziałem, jak wprost upadający z sił ks. dr Morawski odpoczął na chwilę wśród nas,

czyszczących cegłę, to jest obskrobujących cegły z wapna, wówczas podszedł do niego taki zwyrodnialec i uderzył tak silnie w twarz, że ks. Morawski upadł i uderzył głową o żelazne taczki, przecinając sobie silnie policzek. Nic też dziwnego, że ten sędziwy uczoney nie wytrzymał długo tych męczarni i zmarł z wyczerpania. Za nim poszli także księża Kazimierz Dębowski i Józef Cyrek. Niemcy zabili ich, zniszczyli ich ciała, ale ducha nie złamali.

Ciężką karą równającą się prawie śmierci było 25, względnie 50 uderzeń kijami bukowymi w pośladki. Tę karę mało kto wytrzymał, a po jej otrzymaniu ciało zmieniało się w ciemnozieloną zgniłą bryłę. Widziało się przez kilka dni te czołgające do studni szkielety, obmywane ostatnim wysiłkiem brudne rany i zazwyczaj kończące swój żywot pod płótnem. Straszłą karą był także „słupek”, spod którego wychodzili więźniowie czarni i pół żywi. Widziałem takiego naszego współwięźnia Adama Różyckiego, zresztą inwalidę.

Kara chłosty wykonywana była po apelu wieczornym, na widoku wszystkich więźniów danego bloku. Prawie wszyscy spuszczaali głowy na widok takiego bestialskiego obchodzenia się z ludźmi przez nieludzi. Przeróżne krzyki, wyrazy wielkiej bóleści przesywały powietrze i serca nasze, ale byliśmy wszyscy bezradni, skazani na zagładę i powolne konanie.

Ulubioną karą były także „żabki”, chodzenie kaczym krokiem, a więc w pozycji przykucniętej przez całe godziny. Najdrobniejsze usiłowanie wyprostowania ciała pociągało za sobą kopanie i bicie. Dla większej szykany kazano w bieliznie tarzać się po ziemi i za pół godziny pokazywać bieliznę znowu czystą, wypraną, naturalnie bez mydła i gorącej wody. Nic więc dziwnego, że więźniowie biegali z częściami garderoby po placu, susząc je na słońcu, a obserwator zewnętrzny musiałby przyjąć, że to są ludzie niespełna rozumu.

Nigdy nie mieliśmy spokoju. Nawet po apelu wieczornym, kiedy położyliśmy się na słomie na spoczynek, wpadał często SS-man i kontrolował nie tylko czystość nóg, ale i butów, z taką dokładnością, że nawet ziarnko piasku znalezione na podeszwie buta powodowało dotkliwie pobicie. Nie dość szybkie powstanie z legowiska – nawet człowieka ciężko chorego – groziło pobiciem. Wyszukiwano przeróżne roboty, zupełnie niecelowe i dla prostego znudzenia i zmęczenia. Kazano na przykład ziemię przekopywać i przesypywać z miejsca na miejsce bez żadnego określonego celu. Kazano nam czyścić szyby okien papierami i to bez przerwy, tak że szyby czyszczone przed południem musiały być znowu czyszczone po południu. Czyszczenie takie było przeprowadzane całymi dniami. Niektórym, a zwłaszcza koledze

redaktorowi Stanisławowi Mrozowi, kazano cały dzień zbierać znajdujące się na trawnikach, względnie chodnikach niedopałki, a nawet zapałki i najdrobniejsze śmieci. Robota musiała być wykonana nad wyraz pedantycznie, gdyż stwierdzenie przez SS-mana, że gdzieś leży drobny papierek, kosztowało już kolegę Stanisława Mroza bardzo dużo, bowiem za to bito go i kopano. Przy tej okazji uderzył go raz jeden SS-man tak silnie, że się przewrócił i doznał złamania ręki. Na zabieg chirurgiczny odwożono go raz lub dwa razy do Katowic, ale to nie przeszkadzało, że mimo iż miał rękę na temblaku i bardzo cierpiał, był dalej bity, jeżeli jego praca w czymkolwiek nie spodobała się któremu ze strażników.

Zaraz z początku używano nas do rozbiórki niektórych szop i odbijania tynku. Robota wykonana musiała być bez jakichkolwiek narzędzi. Musiano dopiero te narzędzia na swój sposób skonstruować, budować rusztowania z materiału zupełnie nieodpowiedniego i to bez żadnych narzędzi, haków lub gwoździ. W rezultacie bardzo często rusztowania się załamywały, więźniowie doznawali dotkliwych zranień, a nawet kalectwa. Pył wapienny pokrywał twarze i całe ubrania, tak że kiedy pierwszy raz widziałem oddział wracający z tej roboty, przypuszczałem, że koledzy ci pracowali we młynie. Tego samego dnia zostałem również do tej pracy przeznaczony i na własnej skórze przekonałem się, jaka to była przykra i ciężka praca, bowiem wiatr wdmuchiwał do oczu i uszu tumany wapiennego pyłu, a oczyszczenie ubrania, względnie umycie się przy jednej tylko studni było bardzo utrudnione. Zaniedbanie tego choćby w drobnej części groziło ciężkim pobiciem.

Nad wyraz przykrą funkcję spełniał na naszym bloku 10. kolega leśniczy z sanockiego powiatu, człowiek przeszło 60 lat liczący. Miał powierzony nadzór nad czystością ustępów, a raczej latryny. Był odpowiedzialny za to, że nikt nie znajdzie się w tej ubikacji poza oznaczoną godziną i nie będzie się tam paliło papierosów. Przechodził on istne męki, bo najdrobniejsze niedopatrzienia pociągały za sobą jego bicie i katowanie. Nie można więc się dziwić, że i on niedługo wytrzymał te katusze i wkrótce zmarł. Mieliśmy na naszym bloku również SS-mana, który z początku w stosunku do nas był zupełnie znośny, tak że nazywaliśmy go „der Gute”. Miał on służbę co drugi dzień, na przemian z drugim, który był istnym katem i uzupełniał w zupełności naszego wspomnianego już *Blockführera* Leona Wietschorka. Skoro po kilku dniach doszło do wiadomości tego dobrego, że w oczach naszych jest dobry, widocznie przestraszył się takiej oceny i zmienił swój stosunek w sposób gwałtowny, prawie przez noc. Uczynił to z pewnością dlatego, aby wobec swych przełożonych wykazać, że niesłusznie Polacy nazywają go „der Gute”.

Długie tygodnie istotnie nas morzono, aż nareszcie otwarto kantinę, jakby na urągowisko, bo o dożywianiu w kantinej tej nawet mowy nie było. Z jedzenia można było tam, raz na tydzień może, otrzymać jakąś bułeczkę, za to bardzo dużo było pasty do zębów.

Niemają było udręki z powodu wszy i pcheł. Usiłowano je tępić przez kąpiele urządzone od czasu do czasu, ale rezultaty były nieszczególne z powodu przybywania ciągle nowych transportów więźniów. Pedantycznie przestrzegano strzyżenia i golenia. Golenie, względnie strzyżenie mogło być wykonane tylko w czasie przerwy obiadowej lub wieczorem, a zaniedbanie codziennego golenia powodowało zazwyczaj spoliczkowanie winnego.

Przyjęcie do obozu było straszne. Każdego rozbierano do naga, zanurzano w zimnej wodzie w kadzi, względnie korycie, strzyżono włosy do skóry, a przy tym nielitościwie każdego prawie bito. Przetrzymać taki wstęp do obozu było już wielkim szczęściem. Lub nieszczęściem, bo koniec był prawie zawsze pewny – prawie zawsze śmierć.

Jak już wyżej wspomniałem, pierwsze tygodnie, to jest mniej więcej do lipca, spędziłem w głównym budynku zwanym *Lager II*, gdzie przebywali tak zwani inwalidzi. W pierwszych dniach lipca przeniesiono nas wszystkich do bloku 10. Na bloku tym znajdowała się także izba chorych, tak zwane *Krankenbau*, gdzie zgłaszali się chorzy. Chorować nie było wolno. Jak wyraził się raz jeden SS-man – zachorować wolno na pięć minut przed śmiercią. Do pomocy lekarza obozowego Niemca przydzieleni zostali więźniowie lekarze medycy, ale i oni, mimo najlepszych chęci, nie mogli nam dużo pomóc. Ogólne wyczerpanie i czyraki niszczyły organizmy, o leczeniu nie było mowy, już nie tylko z tego powodu, że nie było lekarstw i opatrunków, ale z tego zasadniczego powodu, że brak było odżywienia, a zwolnionym od pracy można było być dopiero przy ciepłocie 39 stopni C.

Sam zacząłem cierpieć bardzo wskutek osłabienia mięśnia sercowego i schudnięcia. Straciłem w kilka tygodni 16 kg, nogi zaczęły mi puchnąć, nie mogłem nosić obuwia – zresztą swego własnego, bo zakładowego nie otrzymaliśmy i przeważnie chodziliśmy boso. Rany na opuchniętych nogach nie można było bandażować, bo bandaży płóciennych nie było, a papierowe w błocie nic nie chroniły. Uzyskałem także swego czasu od lekarza, z uwagi na osłabienie serca i popuchnięte do kolan nogi, zezwolenie na pracę siedzącą, a więc mogłem czyścić okna, względnie cegły, siedząc. Nie uchroniło mnie to od tego, że czasem, zanim wyjąłem kartkę z zezwoleniem na pracę siedzącą, zostałem spoliczkowany przez SS-maną. Kiedy mu takie zezwolenie pokazywałem, machał ręką i szedł dalej.

Obawiano się bardzo gruźlicy i chorób wenerycznych i dlatego chorych na te choroby zabrano do osobnych sal. Traktowanie ich nie było lepsze niż innych, a gruźlicy nie otrzymywali wcale lepszego odżywiania. Z początku niektórzy koledzy, myśląc, że na tych oddziałach będzie znośniejszy żywot, próbowali, nawet bez potrzeby, niedotknięci chorobą, tam się dostać, ale wnet przekonali się, że złudne były ich nadzieje i o ile możliwości, znowu z tych oddziałów szybko uciekali. Byli także wśród nas, względnie z dalszych transportów, prawie stuprocentowi inwalidzi, bez rąk, bez nóg, a nawet starcy 80-letni. Wszystko tam zostało spędzone i stłoczone na razie na bloku 10.

W pierwszych dniach sierpnia wszystkich więźniów bloku 10. rozdzielono między inne bloki. Ja znalazłem się znowu z moim serdecznym towarzyszem Stanisławem Robakiem w bloku 3a. Z początku pracowałem przy zwózce ziemi, ale widząc, że siły mi nie dopisują i wnet przyjdzie mi pożegnać się z tym światem, za namową i poradą oraz wstawieniem się Stanisława Robaka u kapo Aleksandra, który miał nadzór nad obieraczami ziemniaków, dostałem się do tej grupy, wśród której znalazłem moich dawnych towarzyszy, a mianowicie: dr. Józefa Putka, Tadeusza Turka, Mieczysława Urbańskiego i innych. Wtedy znowu miałem sposobność zetknąć się z kolegą Bolesławem Rozmarynowiczem, który pracował w magazynach odzieżowych, z kolegą Józefem Przebindą, który pracował w betoniarni i z adwokatem drem Adamem Dobrowolskim, który zajęty był w *Effektenkammer*. W tym czasie także zapoznałem się bliżej z artystą rzeźbiarzem Xawerym Dunikowskim i spotkałem dawnego mojego znajomego, sędziego dr. Mariana Andrysiaka, adwokata Stanisława Chmiela z Tarnowa oraz adwokata dr. Henryka Blocha z Brzeska.

Jak już zaznaczyłem, obóz był dopiero w zarodku i w budowie. Realizowano powoli plan jego rozbudowy, zrazu jako obozu koncentracyjnego, a potem obozu zniszczenia. Właściwego komendanta nie widziałem przez cały czas, a zobaczyliśmy go dopiero przy moim zwolnieniu. Władzę swoją wykonywali *Blockführerzy* na poszczególnych oddziałach. Ci rekrutowali się z więźniów, a nad nimi sprawowali nadzór SS-mani w rozmaitych rangach. Bloki miały po kilka izb. W każdej izbie władzę sprawował *Stubenältester* wybrany lub wyznaczony przez współwięźniów, który był odpowiedzialny za porządek i rygor w swej izbie wobec *Blockführera*, względnie SS-mana.

Rano i wieczorem odbywały się apele na tak zwanym placu apelowym. W czasie, kiedy przebywaliśmy na bloku 10. jako tak zwani inwalidzi, na apele nie chodziliśmy, tylko byliśmy

przeliczani przez Leona Wietschorka, który liczbę podawał SS-manowi, a ten zanosił ją do odbierającego raport zastępcy komendanta obozu, powszechnie nazwanego „Lalusiem”. Jak długo nie zgadzała się liczba, tak długo musieliśmy stać na placu apelowym, względnie przed placem obok bloku 10. i to bez względu na pogodę, nieraz godzinę, dwie i dłużej. Przy tych apelach ogłaszano i wykonywano karę chłosty i wtedy zgłaszano chorych, którzy następnego dnia mieli być przedstawieni lekarzowi. Po apelu następowało wydanie kolacji, a potem o 20.30 wieczorem musieliśmy się kłaść na spoczynek w poszczególnych izbach, na podłodze posłanej tylko słomą. Wszyscy byliśmy tak zgnieceni, że nie można było się swobodnie obrócić ani ruszyć. Okna musiały być zamknięte i nie wolno było do nich się zbliżać, bo wartownik SS-man od razu strzelał z wieży. O wypoczynku nie było mowy, bo byliśmy bardzo stłoczeni, a wychodzący celem załatwienia potrzeby naturalnej potykali się o śpiących, tak że nie było nikogo, kto by spokojnie przeleżał do 3.30, kiedy trzeba było zrywać się do mycia i do dalszej pracy.

Mimo wszystko nie traciliśmy wiary, że zostaniemy zwolnieni. Zwłaszcza my, pierwszych stu, którzyśmy rozpoczęli żywot obozu koncentracyjnego w Nowym Wiśniczu jako *Schutzhäftlinge*, wierzyliśmy w to, że nasze rodziny czynią zabiegi, aby nas zwolniono. Wierzyliśmy tym bardziej, że byliśmy niewinni i wiedząc, że Niemcy zwyciężając, coraz pewniej osadzają się na polskiej ziemi, coraz bardziej czują się pewni, wierzyliśmy, że nasz areszt staje się zbyteczny. Myliliśmy się jednak, bo od nowo przybyłych do obozu więźniów, dowiedzieliśmy się, iż gestapo w Polsce zaczęło się roić od agentów rozmaicie płatnych, którzy dostarczali nowego żeru dla obozów. Proste, często anonimowe, donosy dawały podstawę do przyjęcia o wrogie nastawienie Polaka w stosunku do Niemców. My, pierwszych stu, byliśmy typowymi zakładnikami, których areszt z każdym dniem stawał się [bardziej] zbyteczny.

W latach późniejszych, a więc w 1941 r. oraz w dalszych, więźniowie w obozach koncentracyjnych stanowili grupę drugą i trzecią, skazaną z góry na zagładę. Powrót ich był niepożądany, a w każdym razie o zwolnieniu ich przed zakończeniem wojny nie było mowy. Dlatego w 1942 r. i dalszych, kiedy przebywałem już na wolności, nie słyszałem o zwalnianiu z obozów, mimo że pisałem podania do rozmaitych władz w dziesiątkach, a nawet setkach wypadków. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego kolega dr Józef Putek nie zostaje zwolniony z obozu. Tłumaczyłem sobie to w ten sposób, że zapewne rodzina nie zasypuje kompetentnych czynników podaniami. Przypominałem sobie, jak dr Putek w Nowym Wiśniczu myślał, że my – jako zupełnie niewinni i nie przesłuchani – możemy wnieść podanie

o zwolnienie bodaj do samego Hitlera. W pierwszych tygodniach wierzył on w pozory legalności [postępowania] władz niemieckich w stosunku do nas, przekonał się atoli, że to, co z nami zrobiono, mogło być [jednak] możliwe w XX wieku.

Jednym z pierwszych, który został zwolniony z obozu w Oświęcimiu, był już wyżej wspomniany Władysław Theuerle. Po nim wyszedł dyrektor „Ruchu”, więzień wiśnicki Stanisław Szeremeta. Następny z kolei byłem ja. 10 sierpnia 1940 r. o drugiej po południu przyszedł do mnie do obieralni ziemniaków, w której od trzech dni pracowałem, SS-man i wywołał mój nr 947. Zerwałem się, a on kazał mi iść za sobą. Wyszędłem na plac zbiórki, na którym stały jeszcze oddziały przeznaczone do robót i oddział SS-manów. Polecono mi stanąć z boku. Po ukończeniu czynności rozdziału pracy podszedł do mnie, zajęty tym rozdziałem SS-man i powiedział ostro: „Du wirst erschossen du Schuft” – „Ty będziesz zastrzelony, ty szubrawcze”. Nie poczuwając się do żadnej winy i nie będąc nawet dotychczas przesłuchany na jakąkolwiek okoliczność, powiedziałem spokojnie, że nie poczuwam się do żadnej winy ani też mnie żadnej nie udowodniono. Na to odezwał się SS-man: „Du wirst bekommen 25 am Arsch, da wirst dich gleich erinen” – „Dostaniesz 25 na tylną część ciała, to sobie zaraz przypomnisz”. Na to odrzekłem, że wątpię. Wtedy krzyknął: „Du warst ein bekanter Aufwiegler in Krakau” – „Ty byłeś znanym wicherzycielem w Krakowie”. Pierwszy raz usłyszałem moje oskarżenie, w tej formie i wśród tych warunków powiedziane. Nic dziwnego, iż ironiczny uśmiech znalazł się na moich ustach. Zauważył to ów SS-man i znowu odezwał się do mnie: „Kommt Dir das so lächerlichvor” – „Czy to wydaje ci się tak śmieszne”. Na to otrzymał ode mnie odpowiedź, że przygotowany na wszystko, w ostatniej godzinie życia, wobec takiego postawienia sprawy nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Byłem już istotnie przygotowany na śmierć, prosiłem tylko Boga, abym zniósł te ostatnie chwile godnie i modliłem się, aby te zbiry SS-mańskie dobrze strzelały, gdyż żywot w tym obozie już wówczas był czymś gorszym od śmierci. Biegając myślą do swoich najbliższych i do mego ukochanego Krakowa, czekałem, co się dalej ze mną stanie. W pewnym momencie SS-man przystąpił znowu do mnie i rzekł zupełnie spokojnie (co mnie ogromnie zdziwiło): „Gehe dich rasieren, so unrasiert kann ich dich nicht entlassen” – „Idź się ogó!l, gdyż nieogolonego nie mogę cię wypuścić”. Poszedłem wtedy do swojego bloku, gdzie jeden z więźniów trudniących się goleniem szybko i sprawnie ogolił mnie, a następnie zgłosiłem się do tzw. *Lagerältestera*, znanego wielkiego krzykacza i poganiacza, starszego weterana hitlerowskiego. On zaprowadził mnie do magazynu po odbiór moich rzeczy. Ponieważ była to sobota i o trzeciej po południu magazyn był już zamknięty, przeto odłożono wydanie moich rzeczy, a tym samym moje zwolnienie, do poniedziałku.

Rychło rozeszła się wieść po obozie, że wracam do Krakowa, jako jeden z pierwszych z nowo otwartego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Mnóstwo towarzyszy bolesti i cierpienia zgłaszało się do mnie ze zleceniami i prośbami do swoich rodzin w Krakowie. Starłem się dobrze zapamiętać podane adresy i liczby, aby przecież zrobić tę koleżeńską przysługę, już w zmienionych warunkach. W nocy z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek nie mogłem zmrzyć oka. Wstrząs, jaki przeszedłem w sobotę po południu, zrobił swoje. Nerwy skakały, a przez głowę przebiegały mi myśli przeróżne i nie mogłem się pogodzić z tym, że przecież będę zwolniony. Przeciwnie, natarczywie wracały myśli, że będę istotnie zastrzelony i mało wydawało mi się prawdopodobne, abym ja sam opuszczał obóz, pozostawiając w nim moich kolegów, których winy, przynajmniej tych pierwszych stu, były takie same jak i moje. Zawsze twierdziłem, że albo wszyscy, albo żaden z nas żywy z obozu nie wyjdzie. Nie wierzyłem słowom SS-mana, że zostanę zwolniony. Wierzyłem raczej, że to już mój koniec i to ostatnia szykana i udręka. W poniedziałek rano poszedłem jak zwykle do obieralni ziemniaków i rozpocząłem moją robotę. Minuty i kwadransy dłużyły się, przeszła jedna godzina, następnie druga, SS-man mający mnie zwolnić nie przychodził. Nareszcie około godziny 8.30 przyszedł SS-man, dotychczas bliżej mi nie znany, bo jak zaznaczyłem na bloku 3a byłem zaledwie kilkanaście dni. Wezwał mnie do pójścia po odbiór moich rzeczy i złożonych kosztowności. Wydano prawie wszystkie rzeczy, część widocznie gdzieś się zamieszała z rzeczami innych kolegów przy dwukrotnych przeprowadzkach, względnie przewózkach tych rzeczy. Zegarek ze złotym łańcuszkiem, wieczne pióro i inne drobiazgi odebrałem z depozytu i podpisałem odnośne potwierdzenie koledze więziennemu, Robertowi Birnbaumowi, który w kancelarii pracował w charakterze pisarza. Nie upominałem się już o resztę rzeczy, a w szczególności o kilka sztuk bielizny, bowiem jak najprędzej chciałem być poza bramami obozu. Po odebraniu rzeczy zaprowadzono mnie na badanie lekarskie. Lekarz obozowy, młody człowiek, kazał mi się rozebrać i przystąpił do szczegółowego badania. Zaczęło się od stwierdzenia złamania żebra. Obawiając się twierdzić, że doznałem złamania żebra w obozie wskutek kopnięcia ciężkim butem, przy okazji nakazanego tarzania się po ziemi, twierdziłem że żebro miałem już dawniej złamane. Twierdzenie, że to nastąpiło w obozie, uważałem za ryzykowne, będąc w rękach tych niepoczytalnych osobników. Następnie lekarz stwierdził u mnie bardzo osłabioną akcję serca i osłabienie mięśnia sercowego. Na to znowu podałem, że cierpię od czasów wojny światowej na nerwicę serca, więc widocznie to osłabienie pozostaje w związku z trudami wojennymi jeszcze z lat 1914–1918. Następnie badał wątrobę. Ponieważ nie miałem w obozie ataków

woreczka żółciowego, przeto zauważyłem, że ataki złagodniały, ba, nawet całkiem ustąpiły, widocznie wskutek „ścistej diety”, a zwłaszcza z braku tłuszczu. To już widocznie było trochę za dużo doktorowi, a być może, iż spostrzegł, że trochę sobie jego wiedzę lekceważę, gdyż krzyknął: „Hier ist doch kein Sanatorium” – To nie jest przecież sanatorium”. Na to odrzekłem: „Tak, nie jest [to] sanatorium”. Można by było powiedzieć *aber ein Krematorium*, ale tego nie miałbym odwagi w tych warunkach powiedzieć. W tym czasie pierwsze krematorium wewnątrz obozu było dopiero w trakcie budowania, a zmarłych więźniów grzebano w zwykłych trumnach – drewnianych, pomalowanych sadzami. Zwyczaj palenia zwłok w krematoriach i wysyłania prochów do rodzin za drobną opłatą zaprowadzono dopiero później. W końcu ustaliliśmy z lekarzem mój stan zdrowia i on zanotował do protokołu, że badanie wykazało, iż stan mego zdrowia nie jest gorszy od stanu przed moim aresztowaniem, to jest przed 9 listopada 1939 r. Ja temu się nie sprzeciwiłem, mimo że on mnie przedtem nie znał, a w czasie pobytu w obozie straciłem 16 kg na wadze. Również na osłabienie serca nigdy nie cierpiałem ani nie prześladowała mnie plaga czyraków, które w tym czasie usadowiły się na całym moim ciele, nie miałem opuchniętych do kolan nóg. Potwierdziwszy protokolarnie, że jestem zdrowy, poszedłem do kancelarii po dokument podróży, względnie kartę zwolnienia z obozu, tak zwane *Entlassungsschein*. Z powodu długiego badania lekarskiego, trwającego do dwunastej w południe, spóźniłem się znowu, bowiem panowie z SS chcieli punktualnie zasiąść do obiadu, który różnił się bardzo od obozowego. Musiałem wobec tego czekać przed bramą obozu do trzeciej po południu, ale już w moim ubraniu cywilnym, gdyż poprzednio w magazynie oddałem ubranie więzienne oraz buty, które dopiero przed dwoma dniami otrzymałem. Rzeczy te oddałem koledze więziennemu Bolkowi Rozmarynowiczowi, który pracował w magazynie odzieżowym. Ubranie moje było bardzo zniszczone, tak że wyglądałem jak żebrak, mając w worku resztę mojej bielizny i ubrania. Stojąc pod bramą obozu, nad którą widniał napis: *Arbeit macht das Leben süß* zupełnie osłabiony i zupełnie nerwowo wyczerpany, po dwóch nieprzespanych nocach i moralnych cierpieniach, próbowałem usiąść na moim żebraczym worku, atoli przechodzący SS-man, widocznie sądząc, że ja to nowy *Zuwachs*, energicznie wezwał mnie do powstania, chociaż nawet przy robocie ostatnio mogłem, z uwagi na opuchnięte nogi, siedzieć. Miałem zezwolenie lekarskie potwierdzone przez SS-mana i to zezwolenie dziwnym zbiegiem okoliczności kończyło się właśnie z dniem 12 sierpnia 1940 r. Nie wiem, czy dalsze tortury nie doprowadziłyby do leżenia. Wytłumaczyłem owemu SS-manowi, że wychodzę na wolność, ale gdy przyszedł drugi SS-man, historia powtórzyła się na nowo. Wobec tego musiałem nadal stać na słońcu, męcząc się jeszcze w ostatniej chwili.

Wreszcie o trzeciej po południu nadszedł, z niecierpliwością przeze mnie oczekiwany, strażnik i zaprowadził mnie do kancelarii. Tam przedłożono mi do podpisu deklarację obejmującą następujące punkty: 1) że nie będę zwalczał narodowego socjalizmu; 2) że nie będę należał do żadnej tajnej organizacji, a o wiadomych mi członkach doniosę organom policyjnym; 3) że nie będę podnosił żadnych pretensji z tytułu odszkodowania za utracone zdrowie i utrudnioną możliwość zarobku oraz, na co komendant specjalnie mi trzy razy zwracał uwagę, że: 4) zachowam zupełne milczenie odnośnie do stosunków panujących w obozie. Przy tym zagroził mi, że na wypadek, gdybym z tego powodu dostał się w ręce władz niemieckich, zostanę rozstrzelany w przeciągu 24 godzin. Deklarację taką podpisałem. Następnie zapytano mnie, jakiego jestem zawodu i czy zwrócę kosztą biletu kolejowego. Naturalnie uspokoiłem tego gorliwego urzędnika, dbającego o skarb kolejowy niemiecki, zapewniając go, że zaraz to uczynię, kiedy powrócę do Krakowa i zostanę do tego wezwany. To jednak później nie nastąpiło, gdyż widocznie komenda obozu doszła do przekonania, że kosztą takiej jazdy winna sama ponosić, skoro nas bez naszej woli z Krakowa wywieziono. Mówiono także swego czasu, że ponosić będziemy kosztą naszego utrzymania w obozie, ale zdaje się i ta koncepcja upadła, bo rachunku za pobyt w tym „znakomitym sanatorium” nie otrzymałem.

Po odebraniu papierów, a w szczególności karty zwolnienia, wyszliśmy z kancelarii z tym poleceniem, że mam zaraz po przyjeździe do Krakowa zgłosić się na ul. Pomorską 2 celem rejestracji i poddania się dozorowi policyjnemu. Wyszedłszy za główną bramę, na której widniał napis „Arbeit macht frei”, spojrzałem jeszcze raz za druty kolczaste na ciężko pracujących kolegów i towarzyszy niedoli. Byłem głęboko przejęty żalem, że ich opuszczam, że pozostawiam dawnych kolegów moich z Montelupich i z więzienia w Nowym Wiśniczu. Zżyłem się bowiem z nimi serdecznie, tak że trudno mi było pogodzić się z myślą, że jestem na drodze do wolności, niestety, tylko sam. W smutku przyjmowałem, że odchodzę w inne strony, może znacznie gorsze, a może istotnie na śmierć, która w tych warunkach nie byłaby najgorsza, a w każdym razie lepsza od powolnego konania.

Za bramą wsiadł SS-man, mój „anioł opiekuńczy”, na rower i jechał obok mnie bardzo wolno, bo nie mogłem nadążyć, mając zbolałe i opuchnięte nogi i bardzo osłabione serce. Wiedziałem, gdzie się znajduje dworzec oświęcimski, więc zwróciłem się do niego, że może niepotrzebnie się fatyguje, sam pójdę na dworzec i zdążę na pociąg w kierunku Trzebini, względnie Krakowa. On jednak odrzekł, że musi mnie odprowadzić do samego dworca, bo zachodzi obawa zemsty z mej strony. Zgłupiałem, bo nie rozumiałem, na kim i na czym

miałbym się na razie mścić, będąc schorowany, samotny, bez żadnego rewolweru, bomby czy dynamitu. Przyznałem mu jednak rację i stwierdziłem, że istotnie, mogłoby w tym czasie coś się stać w pobliżu obozu i z pewnością powiedziano by, że to jest sprawka „wielkiego zbrodniarza” *Schutzhäftlinga* nr 947. Na dworcu przy okienku kasowym, w czasie rozmowy SS-mana z urzędniczką sprzedającą bilety padło ze strony SS-mana słowo *Katowitz*. Przeraziłem się, bo byłem pewny, że cała historia z moim zwolnieniem, to istotnie tylko komedia i wywożą mnie do innego więzienia, w innym celu, a może istotnie już na śmierć. Zbliżywszy się do okienka, zorientowałem się, że na szczęście strażnik nie orientuje się dostatecznie w geografii i sądził, że do Krakowa dostać się mogę przez Katowice. Wmieszałem się szybko w rozmowę z panią sprzedającą bilety, że nie potrzebuję jechać do Katowic i prosiłem o wydanie biletu wprost do Krakowa, co też uczyniła. Strażnik kupował tylko jeden bilet. Znowu rozjaśniło mi się w głowie, bo wnioskowałem, że skoro kupuje tylko jeden bilet, więc widocznie przeznaczony będzie dla mnie. Wnet atoli przyszło mi na myśl, że on może pojechać na bilet kredytowany, względnie, że będzie korzystał z prawa wolnej jazdy jako jadący w służbie. SS-man wziął bilet i wyszliśmy na peron. Zegar kolejowy wskazywał 4.30 po południu. Było jeszcze pół godziny do odjazdu pociągu. SS-man pozwolił mi usiąść na ławce, sam zaś stał obok, paląc papierosa i nie odzywając się do mnie zupełnie. Po chwili zwróciłem się znowu do niego, że teraz zbyteczne już może jego czekanie, mogę sam spokojnie poczekać na nadejście pociągu, który miał przyjechać od strony Dziedzic o 5.00. Nie dał się atoli do tego nakłonić, pozostał wierny swej służbie i otrzymanemu zleceniu. Nareszcie nadjechał z niecierpliwością oczekiwany przeze mnie pociąg. Wówczas SS-man zwrócił się do kierownika pociągu z wezwaniem o osobny przedział. Konduktor przedział otworzył i wtedy nastąpiło moje największe napięcie: czy wsiądzie SS-man, czy nie. Wrzuciłem do wnętrza pustego przedziału mój worek z rzeczami, wspiąłem się z trudem po wysokich stopniach wagonu, ciągle z boku spoglądając, co zrobi mój „opiekun”. Zobaczyłem, że został na peronie kolejowym, wyjął notatnik i zapisał numer wagonu, do którego wsiadłem, potem – spojrzawszy na swój zegarek – zdaje się zapisał również godzinę, a następnie wręczył mi zakupiony bilet. W tym momencie kierownik pociągu dał sygnał do odjazdu, zatrzasnął drzwi i pociąg ruszył. Stałem sam przy oknie wagonu, a mój stróż oddalał się wolnym krokiem do swego roweru opartego o ławkę na peronie. Zostałem więc odprowadzony na dworzec ze wszystkimi środkami ostrożności, ale tak czyniono tylko w początkach istnienia obozu. Po kilkunastu dalszych zwolnieniach, [kolejnych] zwolnień prawie nie było.

Gdy w pociągu spocząłem na ławce, pierwszy raz odczułem, że jestem wolny. Jakie uczucia mnie wtedy ogarnęły, bardzo trudno opisać. Z jednej strony bezgraniczna radość, że wracam do swoich ukochanych braci, że znowu będę oglądał mój rodzinny Kraków, że wracam po długiej rozłące do wszystkich moich przyjaciół i znajomych, a da Bóg, także do mojego umiłowanego zawodu. Z drugiej zaś strony żal i smutek, że zostałem oderwany od swoich serdecznych wiśnickich przyjaciół, zwłaszcza od tych, z którymi zżyłem się w tych ciężkich chwilach nad wyraz serdecznie, a w szczególności z kolegą dr. Bolesławem Rozmarynowiczem, Stanisławem Robakiem i Józkiem Przebindą. Biegłem do nich wszystkich bez wyjątku myślą, życząc im, aby wnet za mną podążyli. Za chwilę wszedł do przedziału konduktor celem skontrolowania biletu i wdał się ze mną w rozmowę. W szczególności pytał mnie, czy wyszedłem może na wolność z obozu w Oświęcimiu. Nie znając go bliżej, pomny na słowa przestrogi, nie chciałem na ten temat mówić, ograniczając się tylko do potwierdzenia zadanego pytania. Kiedy konduktor dowiedział się ode mnie, że nie mam pieniędzy, ofiarował z całą gotowością pożyczkę w kwocie 10 marek, za co mu jednak serdecznie podziękowałem. Uspokoilem go, że w Krakowie, gdzie mam dom rodzinny, dam sobie już radę bez grosza. Polski kolejarz wczuł się w położenie więźnia i z miejsca chciał przyjść z ofiarną pomocą, dał więc dowód serca i patriotycznego nastawienia. Kiedy pociąg z wolna zbliżał się do Krakowa i znowu na widnokręgu ukazał się kopiec bohatera ludu, obrońcy wolności, nie mogłem się opanować i łzy ciekły mi z oczu. Bóg pozwolił mi dożyć tej wielkiej chwili, nigdy nie zapomnianej w moim życiu. Kiedy pociąg wjechał na peron dworca w Krakowie i wysiadłem z niego, skierowałem swe kroki ku dorożce. Przed ruszeniem poprosiłem dorożkarza o podniesienie budy, aby nikt nie widział, w jakim jestem stanie. Dorożkarz miał widocznie bardzo poważne wątpliwości, czy jestem w możności zapłacić za jazdę nie wedle cen ustalonych, gdyż odezwał się: „Panie, ale ja na taksę nie pojedę”. Uspokoilem go, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, że nie znam taksy w tym czasie obowiązującej. Mniej więcej koło 7.30 wieczorem zajechałem pod bramę mego domu przy ul. Celnej 1 i zadzwoniłem na moich starych dozorców – Tomasza i Barbary Alamów. Ujrzawszy mnie, zaczęli mnie, a ja ich, całować i serdecznie witać. Poleciałem im, aby przynieśli od mego brata 10 zł na dorożkę. Skoro dorożkarz dowiedział się, skąd wracam i usłyszał słowo „Oświęcim” rzekł: „Szkoda, że mi pan nie powiedział tego od razu na dworcu, byłbym pana doktora z chęcią za darmo odwiózł” – i chciał mi koniecznie 10 zł zwrócić. Podziękowawszy za ten piękny i szlachetny odruch biednego dorożkarza, byłem mile dotknięty jego sercem i współczuciem dla mojej udręki oświęcimskiej. Mały to był odruch, ale był on dowodem, że dorożkarz krakowski czuje po polsku i okazuje odruchy swego dobrego serca. Kiedy z trudem

wszedłem na pierwsze piętro i wszedłem do mieszkania, zapanowała radość ogromna, pytania i odpowiedzi oraz hałaśliwe przywitania ze strony mojego wiernego psa Foxa. Pies ten z tęsknoty za mną schudł i zbiedniał, nie mogąc się doczekać oswobodzenia swego pana.

Tak przeszedł czas w moim życiu od 9 listopada 1939 r. do 12 sierpnia 1940 r., a więc 279 dni. Wystarczyło to zupełnie, aby mnie zniszczyć fizycznie, ale nie złamać, gdyż będąc znowu w Krakowie z każdym dniem, dzięki opiece lekarskiej, przychodziłem do siebie, tak że w krótkim czasie mogłem znowu zacząć pracować zawodowo, a zwłaszcza społecznie pełnić obowiązki delegata Polskiego Komitetu Opiekuńczego w naszej dzielnicy. Dla uzupełnienia zaznaczam, że 13 sierpnia 1940 r., stosownie do polecenia komendanta obozu, zgłosiłem się na ul. Pomorskiej 2 i tu meldowałem się trzy razy tygodniowo przez pewien czas. Później zostałem z tego obowiązku zwolniony z tym, że o każdorazowym opuszczeniu Krakowa mam gestapo zawiadamiać. Ile razy wyjeżdżałem na prowincję na rozprawę, zawsze musiałem zawiadamiać o tym gestapo. W ostatnich czasach nie byłem w tym dość sumienny.

Może po upływie sześciu tygodni od wyjścia z obozu otrzymałem wezwanie na ul. Pomorską 2. Bardzo się przestraszyłem, gdyż sądziłem, że prawdopodobnie za dużo i za wiele różnym osobom opowiadałem o przeżyciach w Oświęcimiu i że może w związku z tym będę narażony na wielkie przykrości. Przygotowałem się do tego przesłuchania w odpowiedni sposób, to znaczy zostawiłem kosztowności, zegarek i pióro wieczne w domu, zabrałem tylko zmianę bielizny i ręcznik do mojej teczki i pożegnawszy się z braćmi, poszedłem. Na całe szczęście przedmiotem badania nie były okoliczności, których się obawiałem, lecz badano mnie w kierunku działalności „Sokoła”, procesów politycznych, w których występowałem jako obrońca, i organizacji politycznych. Przesłuchanie odbywało się od 8.00 do 3.00 po południu, w atmosferze spokojnej, z uwzględnieniem zapewne tej okoliczności, że odcierpiałem karę przed ustaleniem mojej winy.

Zwolnienie moje nastąpiło na skutek trzykrotnie składanych przez mojego brata podań, w których podnosił moją niewinność i osłabiony stan zdrowia wywołany wypadkami wojny światowej. Wstawiał się również za mną, wnosząc odpowiednie podanie, inż. Władysław Kucharski, mój zastępca w Straży Obywatelskiej w dzielnicy Podgórze. W rezultacie tych podań mój brat został zawiadomiony 1 sierpnia 1940, że zostanę z obozu zwolniony, tak że od tego czasu bracia oczekiwali mego przybycia każdego dnia. Niestety, wszystkie formalności powrót mój odwlekały aż do 12 sierpnia.

Po mnie wrócił do Krakowa w lutym 1941 r. dr Bolesław Rozmarynowicz, w kwietniu – Stanisław Robak, potem prof. Jan Leśniak, adwokat dr Tadeusz Turek, prof. Jan Bałabuszyński, prof. Antoni Nykliński, były poseł Paweł Toczek i jeszcze kilku z tych, którzy przebywali razem ze mną w obozie pracy w Nowym Wiśniczu. Niestety, wielu z naszej pierwszej setki wiśnickiej nie wróciło. Przede wszystkim nie wrócił Józek Przebinda, który musiał 2 maja 1941 r. położyć swe młode życie w ofierze dla tak ukochanej przez niego ojczyzny. Biedni jego rodzice stracili w nim jedyne go syna, dzielnego oficera WP, młodzieńca rokującego jak najpiękniejsze nadzieje. Pomarli z wycieńczenia, względnie zostali zamordowani: adwokat dr Ignacy Bazler, adwokat dr Markus Spiegel, śpiewak operowy Eugeniusz Szancer, księża prof. dr Marian Morawski, Kazimierz Dębowski, Józef Cyrek, redaktor Stanisław Mróz, redaktor Artur Popiel, Adam Różycki, prof. Antoni Rejnin, Oskar Rauch, leśniczy z sanockiego Leopold Hirsch, Samuel Kolber, Zygmunt Falk i wielu, wielu innych. W miejsce ich przyszli nowi, a i ci także pomarli. Przez to piekło przechodzić musiał mój dawny patron, były dziekan Krakowskiej Izby Adwokackiej dr Edmund Fischer, który przeszedł więzienie w Zakopanem i w Tarnowie i zginął śmiercią męczeńską w Oświęcimiu 21 kwietnia 1941 r., po zaledwie jedenastodniowym pobycie. Zamęczony został w tym obozie ceniony przez wszystkich, którzy go znali, prokurator Sądu Okręgowego w Krakowie Adam Stawarski, a w końcu także adwokat dr Józef Woźniakowski, który zginął śmiercią męczeńską w październiku 1943 r., o czym dowiedziałem się już na wolności.

Moim zdaniem nikt nie zdoła wyliczyć tych wszystkich, których przeznaczeniem było umrzeć w tej nieznannej w dziejach ludzkości mordowni. Prochy ich wprawdzie rozleciały się na wszystkie strony świata, ale pamięć o nich nie zaginie nigdy i z prochów tych kości przyjdzie Wielki Mściciel i nie zostawi przy życiu żadnego z tych katów za to, że tysiące Polaków musiały zamykać oczy na zawsze w strasznym bólu i upokorzeniu, nie widząc przy swoim skonaniu swoich najbliższych i nie mogąc w ostatniej chwili swego życia pojednać się z Bogiem. Przychodziły i ginęły całe zastępy. Przychodziły tysiące osób z Krakowa, a niewinny obóz pracy w Nowym Wiśniczu zamieniał się szybko w olbrzymi obóz koncentracyjny, ale to było wszystko za mało tym nowożytnym Hunom i przekształcili obóz oświęcimski w wielki obóz zniszczenia. Ustały badania przy wypuszczaniu na wolność i ustały zwolnienia. Zwolnienie następowało, jak wyrażali się więźniowie, „tylko przez komin”. Zaniechano telegramów o śmierci więźniów i przestano przysyłać prochy rodzinom. Obóz oświęcimski przerodził się w wielki obóz zniszczenia, nie tylko narodu polskiego

i żydowskiego, lecz wszystkich narodów europejskich. Szał zniszczenia osiągnął swój zenit w komorach gazowych i mordowaniu niemowląt. Karząca ręka Boża położyła jednak kres temu niespotykanemu w dziejach ludzkości barbarzyństwu i zdiczeniu.

Uchował się przez cały czas mój kolega Józef Putek, który przesiedział w więzieniu na Montelupich, a następnie w obozie pracy w Nowym Wiśniczu, wreszcie w Oświęcimiu, a w końcu w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, od września 1939 r. aż do oswobodzenia przez armię sojuszniczą. Miał dużo szczęścia – bo od szczęścia zależało, w czyje się dostał ręce i jaki otrzymał przydział pracy – ale jeszcze więcej miał hartu ducha oraz silnej woli. Powiedział sobie „muszę wytrzymać” i wytrzymał. Nie załamał go Brześć, nie załamały go obozy koncentracyjne, w których cierpiał męźnie i cierpliwie za Polskę i dla Polski. Jestem pełen podziwu dla kolegi, który jest teraz żywą historią tej martyrologii polskiej i będzie głównym oskarżycielem zbrodni niemieckich. Kolega dr Józef Putek był silny i zdrowej konstrukcji, miał wszystkie dane fizyczne, aby wytrzymać te twarde próby. Za nim drugie miejsce niewątpliwie zajmuje porucznik WP Mieczysław Urbański, który również od samego początku był z nami na Montelupich, w Nowym Wiśniczu i w Oświęcimiu. Trzecie miejsce niewątpliwie zajmie sędzia Marian Andrysik, który, jak dowiedziałem się, szczęśliwie wyszedł z tej ciężkiej opresji. On był słabszej konstrukcji, ale silny duchem. Wytrwał aż do końca i weźmie udział w sądzie nad narodem, który tak nisko upadł wskutek swej pychy i zarozumiałości. Żyje nasz kolega dr adwokat Roland Goryczko, który przeszło trzy lata znosił katusze w Oświęcimiu, a zniósł je z głęboką wiarą w ostateczne zwycięstwo Polski. Nie zniszczyli także Niemcy i nie potrafili zniszczyć prof. dr. Jana Olbrychta, dyrektora Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie, który również trzy lata przebył w obozie w Oświęcimiu. Jego spostrzeżenia, oparte na wielkiej fachowej wiedzy, będą bardzo cenne przy ustaleniu wszystkich zbrodni Niemców i ocenie ich zbrodniczych instynktów. Z punktu widzenia naukowego będzie umiał prof. dr Olbrycht najwłaściwiej ocenić zarówno całą organizację obozu, jak i poszczególnych wykonawców i dostarczy niewątpliwie bardzo bogatego materiału do opisu tego obozu zniszczenia. Wspominałem tylko o najbliższych, bo trudno wszystkich wymieniać, a często nie da się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, co się z nimi stało, względnie dzieje.

Powyższe szczegóły podaję na podstawie moich własnoręcznych zapisków, znajdujących się w moim ręku oraz dokumentów, które udało się mimo ciągłych rewizji i kontroli przewieźć z obozu do domu. A stało się to tylko dzięki temu, że jeszcze w obozie pracy w Nowym Wiśniczu kolega pracujący w stolarni zrobił mi dwie deseczki o rozmiarach mojej małej

walizeczki. Deseczki te, spoczywając na dnie walizki, nie były widoczne. Między nimi miałem przechowane dokumenty, a w szczególności spisy więźniów na Montelupich oraz w Nowym Wiśniczu i inne. Ponadto otrzymałem od kolegi dr. Wacława Brodkiewicza książeczkę, w której on miał spis więźniów Nowym Wiśniczu wedle alfabetu, z oznaczeniem poszczególnych cel, w których przebywali. W tej książeczce kolega Brodkiewicz notował także rozdział czynności w poszczególnych dniach i wykazywał rodzaj zajęcia poszczególnych więźniów. Było to coś w rodzaju książeczki raportowej dla jego użytku przy raportach, składanych przez niego Michałowi Sojce. Z tych zapisków dowiaduję się dokładnie, że od 9 stycznia 1940 r. zaczęły mnie prześladować czyraki, które mnie dręczyły jeszcze długo po wyjściu z obozu w Oświęcimiu i czyniły mnie w wielkiej mierze niezdolnym do pracy oraz sprawiały mi dotkliwy ból. Dzięki temu schowkowi w deseczkach udało mi się przemycić nad wyraz cenne pamiątki, jakie posiadam w formie rysunków, względnie portrecików od kolegów prof. St. Żurawskiego, prof. Henryka Polichta, cenne pamiątki po ks. Ferdynandzie Machayu w formie obrazków i medalika oraz krzyżyk z miedzianej blachy z napisem „Montelupich.Wiśnicz 1939.1940” z inicjałami O.S., ofiarowany mi przez tylokrotnie wspomnianego Józefa Przebindę, a pobłogosławiony przez ks. prałata Józefa Rychlickiego.

(W tym miejscu świadek przedkłada posiadane przez siebie dokumenty i deseczki. Dokumenty te umieszczono w osobnej, dołączonej do niniejszego protokołu kopercie. Świadek w dalszym ciągu zeznaje:)

Jeżeli by ktoś zapytał mnie, jak tłumaczę sobie podłoże takie zwie [brak tekstu] wieku i jak tłumaczę sobie możliwość istnienia takiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, to odpowiem zdaniem wolnomyślnego wielkiego filozofa francuskiego Voltaire'a: „Społeczeństwo bez religii byłoby stadem dzikich zwierząt”. Niemcy hitlerowskie, kierowane przez ludzi zdegenerowanych i zбочeńców, przystąpiły do konsekwentnego i systematycznego wydarcia z duszy swego narodu religii, a czyniły to zwłaszcza w stosunku do młodzieży. Oddalały człowieka coraz bardziej od Boga, aż w końcu coraz większe kręgi ludzi zamieniały w zwierzęta i do tego dzikie. Niemcy Hitlera prześcignęły w żądzy krwi i rabunku swych przodków, starych Germanów z czasów Tacyta. Bledną wobec nich okrutni Krzyżacy, którzy nie wahali się już nawet pod znakiem krzyża siać zagładę i zniszczenie ziem polskich. Niemcy hitlerowskie prześcignęły najdziksze hordy Hunów w swych okropnościach i okrucieństwach. Te Niemcy dążyły już do zniszczenia całego świata, pędzone do tego pychą i dumą „narodu panów” i wodzów „nadludzi”, uważając za dobre wszelkie zbrodnie prowadzące do celu, którym było

zmiżdżenie i pożarcie każdego słabego narodu. Bismarckowska zasada: „siła przed prawem” stosowana była zupełnie bezwzględnie. Bezmyślny szal ogarnął ten naród i obracał w niwecz najcenniejsze zdobycze rozwoju ludzkości. Niemcy deptali wszystkie prawa, zagłuszali wszystkie zbawcze prawdy i gasili światła przewodnie, wiodące dotąd ludzkość. Niemcy deptali religię, która stała na straży Dekalogu i przykazania miłości bliźniego. To jest największa ich wina. Zapomnieli o Bogu i religii, wiara i religia nie miały dla nich żadnego znaczenia. Poszli nawet dalej, bo do umiłowania zła i gloryfikowania występku, a w rezultacie do ofensywy na całej linii przeciwko dobru. Podnieśli hasło: nie ma chrześcijańskiego Boga, nie ma bojaźni Boga, jest tylko bóg siły, bóg neopogan. Zapomnieli przy tym, że kto zaprzeczy istnieniu Boga, ten musi podkopać w człowieku odpowiedzialność za intencje jego czynów, za jego zamiary i ostatecznie za same czyny. Człowiek nieskrępowany zewnątrz skończy na samowoli i barbarzyńskiej walce wszystkich przeciwko wszystkim. Ta głoszona przez Niemców nienawiść do Chrystusa prowadziła do kultu, apoteozy zła. Niemcy poszli na oślep, bez zrozumienia, za Nietzschem.

Zostali jednak złamani. Spotka ich za te zbrodnie ciężka, ale sprawiedliwa kara. Na czole całego tego narodu wyciśnięte zostanie piętno ludożerców XX w. i nie będzie zmazane tak długo, jak długo naród niemiecki w pokorze i skrupsze nie przebłaga ciężko obrażonego Boga oraz wszystkich udręczonych narodów. Nie upokorzy się i nie zmaże swej winy przez ciężką pracę w klatce przeznaczonej dla dzikich zwierząt, w której będzie mógł pomału przyjść znowu do równowagi duchowej i odzyskać zwolna człowieczeństwo. Będzie to przestrogą dla tego narodu po wsze czasy, że nie można robić ze społeczeństwa stada dzikich zwierząt, choćby dla osiągnięcia największych ziemskich celów, opierając się przy tym tylko na gwałcie i sile, deptając wszystkie prawa ludzkie i boskie. Sprawdzają się słowa Plutarcha: „Łatwiej zbudować miasto w powietrzu niż państwo bez religii”.

Prawda, że walka zła i dobra trwa przez wieki, ale może teraz zrozumieją Niemcy, że główną i jedyną prawdą życia społecznego wszystkich narodów jest Chrystus. Chrystus zwyciężył świat zła i nauczył nas pokonywać zło. Krzyż stoi, chociaż złamał go Hitler i uczynił z niego swastykę. Burza wojenna przestała huczeć, ale my musimy dać prowadzić się za rękę Chrystusowi i mówić sobie i myśleć: Chrystus drogę zna! On rządzi. On nie zawiedzie. Tak myślałem w czasie pobytu w więzieniu na ul. Montelupich w Krakowie, tak myślałem w obozie w pracy w Nowym Wiśniczu i tak myślałem w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. I tak będę myślał do końca mego życia i twierdzę, że tylko dzięki tej wierze udało mi się wszystkie cierpienia obozowe przetrzymać i odzyskać wolność.

W tym miejscu przypominają mi się jeszcze dwa momenty z Wiśnicza, jak strażnicy więzienni usiłovali straszyć nawet już uwolnionych więźniów. W pierwszym wypadku po uwolnieniu kleryka Andrzeja Żółtowskiego. Kiedy ten schodził już z góry w kierunku Bochni, strażnik wystrzelił w powietrze, by go nastraszyć. Na odgłos strzału Żółtowski począł uciekać. W innym znów wypadku, gdy Przebinda zbliżył się do okna, strażnik strzelił w okno, tak że kula utkwiała w pułapie.

Wszystkie te metody zmierzały do zabicia w nas indywidualności i spowodowanie u każdego z więźniów stanu ciągłego napięcia nerwowego. Jestem przekonany, że o tym, co ja zeznałem, opowiedzą również inni więźniowie, których przeżycia pokrywają się z moimi.

W tym miejscu świadek przedkłada pismo wystawione mu w Krakowie przez przeprowadzającego rewizję w jego mieszkaniu gestapowca, tytułowane: „Dr Oskar Stuhr”, a datowane 9 listopada 1939 r., wzywające go do jawienia się na ul. Pomorskiej 2 w dniu 14 listopada 1939 r. Mimo tego wezwania ten sam gestapowiec aresztował go 10 listopada. Dalej świadek przedkłada dwie deseczki, będące dnem jego walizki, między którymi ukryte były inne dokumenty, które również przedkłada, a mianowicie: spis więźniów, którzy razem z nim przebywali w więzieniu na ul. Montelupich w celi nr 45 – dawna kaplica więzienna – od 9 listopada do 23 grudnia 1939 r. Spis ten zawiera 47 nazwisk, spisany jest ołówkiem, a oznaczam go wielką literą „A”. Spis pierwszych stu więźniów, którzy z więzienia przy ul. Montelupich wysłani zostali 23 grudnia do obozu pracy w Wiśniczu – spis napisany atramentem, nazwiska ponumerowane liczbą bieżącą od 1 do 100. Spis oznaczam wielką literą „B”. Dalej rozporządzenie ostatniej woli w zamkniętej kopercie, przesłane drogą tajną do brata, które oznaczam wielką literą „C”, oraz zezwolenie na pracę siedzącą w obozie, nr 947/10/Au/V. Podpisane przez lekarza i potwierdzone przez SS-mana Rotta. Mimo tego zezwolenia świadek niejednokrotnie był bity za pracę siedzącą. Zezwolenie to oznaczam wielką literą „D”. W końcu świadek przedkłada list z 5 sierpnia 1940 r., pisany do niego do obozu przez jego brata Rudolfa, na dowód, jak pracowała cenzura niemiecka w obozie. List ten jest powycinany, a oznaczam go literą „E”. Wszystkie te dowody postanowiono uczynić integralną częścią niniejszego protokołu, który poza tym zawiera 83 strony pisma maszynowego, ponumerowane kolejno cyframi wzrastającymi od 1 do 83.

Protokół ten jest oryginałem. Na tym protokół zakończono i po odczytaniu w dniu 13 sierpnia 1945 r. podpisano.